Nr. 147. Lwów. — Środa dnia 27 czerwca. Rok 1888.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie	Na prowincji
Miesięcznie zł. 75 ct.	Miesięcznie 1 zł
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Prenumeratę i dostawę do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscowej prenumeraty należy się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej l. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna. Uprasza się prenumeratę przekazami pocztowemi, a nie w kopertach.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują

Trafika J. Ważnego, przy ulicy Czarnieckiego liczba 2. — Trafika przy ulicy Karola Ludwika liczba 5. — Trafika przy ul. Ossolińskich (obok Łazienek Diany) — Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika liczba 9.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Władysława Kr. Jutro: Leona II. Pap. | Adres Redakcji i Administracji Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 3 m. 55·0, Zachód „ „ 8 „ 11·0 | Długość dnia g. 16 m. 16·0, Ubyło dnia 1·0 min.

Czas odnowić prenumeratę!!!

Upraszamy tembardziej o wczesne jej odnawianie, że wskutek nowego rozkładu jazdy pociągów, urząd pocztowy jest w stanie dopiero dnia następnego dostarczać przekazy. Tym sposobem Administracja „PRZEGLĄDU" dowie się teraz dopiero we 24 godzin później, niż to dawniej bywało, o tem, że prenumerator odnawia swój abonament i pragnie, aby mu „PRZEGLĄD" był nadal wysyłany.

Nadmieniamy przytem, że Administracja „PRZEGLĄDU" równo z dniem, w którym wygasa abonament, wstrzymuje wysyłkę PRZEGLĄDU.

Przegląd polityczny.

Mowa tronowa, wygłoszona wczoraj przez cesarza Wilhelma II, robi na pierwszy rzut oka wrażenie bardzo pokojowe. Wprawdzie o sprawach, stojących teraz na indeksie dyplomatycznym, nie ma w niej ani słówka, — ale też rzeczą jest dość naturalną, że wstępując na tron i pierwszy raz przemawiając do parlamentu niemieckiego, nie mógł mu Wilhelm II mówić o Bułgarji. Z tego też powodu mowa ta nie rzuca ani jednego promyka światła w ciemną otchłań groźnych zagadek, istniejących dziś tak samo, jak istniały przed rokiem, choć teraz znużona Europa odwraca się od nich i przestała irytować się niemi tak silnie, jak to czyniła przedtem. Rozprawy w delegacjach austro-węgierskich pokazały, jak dużo jest materjału niebezpiecznego, nagromadzonego na Wschodzie, a właśnie wówczas, gdy rada koronna układała Wilhelmowi II jego arcypokojową mowę, w Kownie odbywał wielki książę Włodzimierz rewją dwóchsettysięcznej armji; pod Warszawą zaś, na rembertowskiem polu, drugie 200 tysięcy rosyjskich żołnierzy zgromadziło się na inspekcją wielkiego księcia Michała starszego. Takie tłumy wojska, zgromadzone na granicy państwa, przecież nie znamionują sytuacji normalnej. Nie chcemy powiedzieć, że w danej chwili istnieje groźne niebezpieczeństwo zakłócenia pokoju, owszem, powtarzamy to, co od pewnego czasu stale utrzymujemy, że mianowicie dziś od katastrofy jesteśmy dalej, niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dwóch lat. Niemniej jednak możliwość katastrofy, możliwość „niespodzianek" — jak powiedział hr. Kalnoky — jest dość wielka, a tymczasem w mowie Wilhelma II o tem ani słówka. To przemilczenie o rzeczach, tkwiących ustawicznie w pamięci wszystkich, tłómaczy się zapewne wielką drażliwością kwestyj, do których lepiej było się nie dotykać, niż dotknąć niezręcznie.

O ile więc wnosić można z telegraficznego streszczenia mowy, była ona arcy-pokojową. Nie ma w niej nic, czegoby już kilka razy nie powiedział ks. Bismark przed tym samym parlamentem, żądając odeń nowych sum na wojsko. „Niemcy nikogo zaczepić nie chcą, pragną one tylko być w pogotowiu na wypadek najazdu; o wojennej sławie nie myślą, życzą jeno utrzymania pokoju ze wszystkiemi państwami". Jest to frazes ułożony raz na zawsze, a zmienić go można tylko w chwili wypowiedzenia komuś wojny. Dalej mowa tronowa wspomina o sojuszu z Austrją jako odpowiadającym tradycji niemieckich dziejów i opierającym się o popularność narodową. „Takiego stosunku Niemcy będą trzymały się silnie". Jest to jedyny aktualnego znaczenia urywek, ogłaszający niezmienność w ugrupowaniu się mocarstw, a ponieważ to ugrupowanie się powstało wkutek oderwania się Rosji i zajęcia przez nią wielce podejrzanej postawy, przeto z konieczności wypadło w pokojową mowę włożyć frazes pochlebny dla caratu. Rzekł tedy Wilhelm II, że „pakta zawarte z Austrją i Włochami pozwalają mu troskliwie pielęgnować osobistą przyjaźń z carem", — czego nigdy nikt nie kwestjonował — „i pozwalają, zgodnie z tem uczuciem, jak i z interesem Niemiec, utrzymać z Rosją stuletnie pokojowe stosunki". Jest to frazes za słaby w porównaniu z frazesem o przymierzu z Austrją i Włochami. Tam wskazano na ważne przyczyny, dzięki którym przymierze stanęło i na pożytek, który ono przynosi, tu powiedziano tylko o uczuciach osobistych, niemożliwych do skontrolowania, i o stuletniej przyjaźni, niemającej w polityce żadnego waloru.

Więcej nic zgoła nie zawiera mowa tronowa, więc i w ogóle nic treściwego. Powtarzamy jednak, że znamy ją dotąd tylko z krótkiego telegraficznego streszczenia; ale mniemamy, że i dosłowne jej brzmienie nowego nic nie zawiera, bo do żadnych oświadczeń stanowczych, do odkrywania kart, a tembardziej do palenia mostów za sobą nigdy w takich wypadkach nie ma rozsądnego powodu.

Czyż jednak ta mowa jest próżną i bez wszelkiego znaczenia? Bynajmniej. Wielką jej wartością jest właśnie niewątpliwy silny ton pokojowy, głęboka ufność w utrzymanie pokoju, zupełny brak troski.

Z Serbji nadchodzą doniesienia o nader energicznej a rozumnej działalności urzędnego gabinetu Christicza, z którego opinja publiczna w królestwie jest coraz bardziej zadowoloniona. Po śmiałych i ryzykownych próbach, którym król poddał swój naród, dając mu za sternikiem z początku liberalnych panslawistów z Risticzem na czele, a potem radykałów z Gruiczem, naród się przekonał, że piękne brzmiące frazesa bynajmniej jeszcze nie dowodzą mądrości stanu, a szumne hasła, w czyn zamienione, nieraz sprowadzają klęskę. Kiedy król powołaniem do steru Risticza przeraził wszystkich przyjaciół dynastji Obrenowiczów, poczęli mu oni przedstawiać możliwość wielkich nieszczęść, jakie mogą spaść na Serbję pod rządami panslawistów. Król wówczas powiedział: „Co zrobiłem, dobrze zrobiłem." I nie omylił się. Postępowanie Risticza wkrótce zniechęciło do niego znakomitą większość narodu, całą urzędniczą warstwę, całe wojsko, nad którego zmniejszeniem prawie do połowy myślał szef russofilów, wreszcie odwrócili się od niego nawet radykaliści, z którymi on się nie wahał sprzymierzyć, lubo oni wszyscy stali pod zarzutem wywołania powstania w Zaicarze w r. 1883 i lubo znani byli z republikańskich dążności.

Risticz upadł pod ciężarem własnych błędów, okryty nienawiścią za teroryzm, który wprowadził, i pociągnął za sobą wszystkich russofilów. — Jeden eksperyment udał się królowi, więc on postanowił zrobić drugi, jeszcze śmielszy i niebezpieczniejszy: powołał do steru radykalistów, admiratorów republikańskiej formy rządu, wiecznych malkontentów, trybunów ludowych, mających pełne usta haseł popularnych. Znów strwożeni przyjaciele dynastji ostrzegali króla, on znów powtórzył swe słowa: „co zrobiłem, dobrze zrobiłem" — i znów się nie omylił. Risticz pracował nad swym upadkiem dni dwieście, radykaliści potrzebowali na to tylko połowy tego czasu. Kuracja narodu zupełnie się powiodła królowi, panslawizm i radykalizm zbankrutowały w Serbji. Mnóstwo petycyj nadsyłano Milanowi o usunięcie szkodliwych blagierów, którzy kraj gubią, w powiatach poczęto odbywać wiece, na których silnie potępiano panslawistów i radykalistów, wreszcie urzędnicy zaczęli podawać się do dymisji, nie mogąc wykonać dzikich rozporządzeń gabinetu. Wówczas król dał Gruiczowi dymisję i postawił rząd nienależący do żadnego stronnictwa, rząd z doświadczonych praktyków, nazwany wkrótce „rządem silnej ręki".

Potrzeba było naprawić to, co przez cały rok zdezorganizowali panslawiści i marzyciele radykalni. Tem przedewszystkiem zajął się Christicz i dla tego gabinet jego miano z razu za bezbarwny pod względem polityki zagranicznej. Lecz o to teraz zarządził on wydalenie z Serbji wszystkich bułgarskich emigrantów i rosyjskich emisarjuszy, przechowujących się pod rozmaitymi paszportami. Popłoch się zrobił w sferach agitatorskich ale żaden głos potępienia nie odezwał się z wnętrza kraju. Serbja milcząco zgodziła się na bannicją wszystkich podżegaczy. Przez kilka dni oblęgali oni poselstwo rosyjskie, błagając o zapomogi na drogę i wreszcie wyjechali do Rosji, nie żegnani przez nikogo.

A równocześnie ten sam Christicz rozpoczął rokowania z rządem bułgarskim o załatwienie sprawy bregowskiej, czem znowu pokazał, że pragnie wbrew życzeniu Rosji, utrwalić dobre stosunki z sąsiedniem księztwem.

To są dwa najświeższe fakta, dające polityczną barwę rządowi Christicza.

Korespondencje.

Wiedeń 24 czerwca *).

(=) Sądzę, że godzi się przypomnieć, iż o potrzebie i prawdopodobieństwie **wykupna propinacji**, zaraz po zaprowadzeniu nowej ustawy spirytusowej, pierwszy *Przegląd* doniósł w korespondencji wiedeńskiej. Należy też przypomnieć, że sprawę tę podniesiono w jednym memorjale krakowskiej Izby handlowo-przemysłowej, jako taką, która rolnictwo i miasta nasze, posiadające prawo propinacji, zupełnie ocalić może przed skutkami perjodu przejściowego po zaprowadzeniu nowej ustawy i przed ewentualnemi skutkami nowej ustawy, których z góry dokładnie przewidzieć, obliczyć nikt nie zdoła. Że rząd od razu sprawę tę wziął w swoje ręce, należy mu to za wielką poczytać zasługę i uznać w tem uwzględnienie potrzeb kraju naszego, zarówno jak uwzględnienie potrzeb państwa, którego interesa wymagają, żeby przy zaprowadzaniu nowych ustaw nie było państwo krępowane i ograniczane niezaprzeczalnemi, jednak przestarzałemi prawami specjalnemi, mającemi moc i znaczenie w tej czy owej prowincji. Gorszą się faryzeusze liberalni istnieniem prawa propinacji w Galicji, lubo zasadę odszkodowania chcieli rozciągać (Menger) na całe państwo, nawet i na te kraje, gdzie sprawa propinacyjna dawno już jest załatwioną. Jeżeli jednakże może być wynaleziony sposób, żeby prawo to w Galicji bezzwłocznie znieść, nie czekając roku 1910, za słusznem wynagrodzeniem uprawnionych, to będzie to zarówno pod ekonomicznym jak i moralnym względem pożądanem, a jest wielce potrzebnem. Ucichły obawy szkodliwych dla rolnictwa i dla miast skutków, przynajmniej obawy zbyt dotkliwych skutków ustawy.

Gdy jednak, jak wiadomo, bezwarunkowej w tej mierze pewności nie ma, będzie to, (że użyję obrazu) zdjęciem kamienia z serca Galicji, jeżeli propinacja już teraz wykupioną zostanie. Znaczy to tyle, że zamiast po wielu jeszcze latach, zamiast po przetrwaniu skutków nowej ustawy, rolnicy i miasta otrzymają ubezpieczenie zupełne swoich praw propinacyjnych, przed doznaniem jeszcze skutków nowej ustawy, a w czasie, gdy przesilenie powszechne rolnicze i przemysłowe, gdy ogromne przemiany warunków komunikacyjnych, transportowych, gdy konkurencja Ameryki, Indyj, Rosji ciąży na rolnictwie, dochody jego przepoławia i staje się powodem kosztownych reform w systemie gospodarowania. W czasie takim uzyskanie od razu całego kapitału reprezentowanego przez prawo propinacji może rolników postawić na nogi i miastom pozwolić na uregulowanie stałe całego swojego gospodarstwa, zwłaszcza pod względem szkół, zakładów dobroczynnych itp.

Były już w Galicji trzy razy takie konjunktury, że mogła i powinna była odgryść się i ubezpieczyć przeciw złym czasom. Nie stało się tak, albo w mierze zbyt małej, o co nie chcę tu winić ani ogółu pewnych warstw społeczeństwa, ani jednostek, lecz stwierdzam tylko fakta. Była indemnizacja, wykupno pańszczyzny; powinna była rolników zupełnie na nogi postawić. Lecz uzyskane kapitały nie zostały wcale użyte inwestycyjnie, produkcyjnie; pozwoliły przetrwać różne biedy, to prawda, ale bez oglądania się na przyszłość; większa część tych kapitałów została tak, czy owak skonsumowaną i rolnictwo w nowych warunkach znalazło się potem bez kapitałów, ze staremi i z nowemi długami. Mogło było stać się inaczej.

Była epoka budowy kolei; kraj jako taki nie skorzystał z niej, przyglądał się zabiegom kilku osób, nie odgryziono się przy budowie i cała niemal własność naszych kolei jest w obcych rękach.

Była wreszcie nafta. I znowu nieliczne jednostki zabiegały, trudziły się, robiły nawet majątki, kraj jednak, ogół, a zwłaszcza rolnicy nie zdobyli się w porze na działanie *viribus unitis*, na zabezpieczenie całej tej gałęzi dobrobytu dla kraju, dla rąk polskich, dla tych, w których roli skarby się znajdują. Powstało *raubwirthschaft*, dopuszczono do rozdrobnienia eksploatacji na partackie, doraźne, drobne, lud gniotące i wyzyskujące przedsiębiorstwa, dopuszczono, że i tę gałęź dobrobytu zagarniają coraz więcej w swoje ręce cudzoziemcy.

Teraz przez wykupno prawa propinacji stworzoną zostanie czwarta pomyślna konjunktura, która Galicję, a zwłaszcza rolników na nogi postawić może. Nie pora tu jeszcze rozbierać warunki i trudności sprawy, podnosić wszelkie względy uprawnienia, ale kierując się względami przeszłości, nigdy nie jest zawcześnie wołać: niechaj rolnicy nie zasypiają i z tym faktem wykupna propinacji obliczają; niech rozważają, co im najwięcej dolega, czem się ratować mogą i ubezpieczyć przed przyszłemi złemi czasami — niech sobie ułożą **cały system produkcyjnego zużycia kapitału, który w niedługim czasie do rąk otrzymają.** Niechaj rolnicy rozważają, że ich ojcowie zostawili im jeszcze ratunek między innemi i w tem prawie propinacyjnem; ratunek ten powinien więc być istotnie ratunkiem — co tylko od każdego z osobna zależy — a to tembardziej, że dzisiejsi ojcowie już dzieciom swoim dawnych praw nie zostawią więc niechże im zostawią uregulowane i podniesione majątki.

*) Pewne sfery wiedeńskie proszą nas o zamieszczenie tego listu. Czynimy tej prośbie zadość dla tego tylko, aby nie powiedziano o nas, że krępujemy wolność słowa i osobom mającym inne, niż my, zapatrywania na sprawy publiczne, zamykamy szczelnie łamy naszego pisma. Ale zamieszczając ten list, oświadczamy wyraźnie, że dotąd nie widzimy żadnego dla naszych ziemian ekonomicznego pożytku z wykupna propinacji, owszem — grubą materjalną stratę; że moglibyśmy mnóstwo dóbr wyliczyć, które w skutek tego projektu będą miały obcięty roczny dochód o kilkaset, albo nawet i o kilka tysięcy złr.; że znamy obywateli ziemskich, którzy — jeżeli ten projekt wejdzie w życie, — wyrzuceni zostaną z swych majątków i osiądą na bruku lwowskim bez środków do życia; a że natomiast cały proceder wykupna propinacji da ogromne dochody adwokatom, a nawał roboty sądom cywilnym.

Być może wszakże, że się mylimy i że projekt rządowy nie jest tak zły, jak się nam zdaje, nam, którzy go dotąd bardzo niedokładnie znamy. To też, jak osobom zapatrującym się inaczej na tę sprawę nie chcemy zamykać ust, lecz chętnie dla obrony ich tezy otwieramy nasze szpalty, tak również gorąco prosimy wszystkich, który podobnie jak my zapatrują się na tę sprawę, lub którzy będą się czuli przez projekt rządowy dotknięci w swych materjalnych interesach, aby zechcieli nadsyłać nam artykuły, materjały, uwagi, spostrzeżenia i t. d. Wszak nikt nie pociesza tem, że bez woli Sejmu nie można zmienić krajowej ustawy propinacyjnej. Trzeba bowiem mieć to na uwadze, że projekt ten jest dla wszystkich sfer liberalnych bardzo popularnym, że przeto serca ogółu zostaną łatwo dlań pozyskane; że następnie projekt ten przyniesie pożytek wielu osobom, więc poruszy licznych warstw interes materjalny; że wreszcie przy jakiej takiej agitacji da się stworzyć snadno taka atmosfera, iż w obec niej Sejm będzie musiał uledz i znowu na ołtarzu popularności politycznej poświęcić interes tysiąca rodzin, które dzięki temu projektowi wyjdą z torbami. Zatem zaniedbywać rzeczy nie wypada, zwłaszcza teraz, kiedy ją jeszcze można zmodyfikować tak, aby i krajowi pożytek przyniosła i jednostek nie zubożyła. Przyp. Red. *Przeglądu.*

Wybory w Belgji.

Świeżo dokonane w Belgji wybory uzupełniające do senatu i do izby deputowanych, na miejsca wakujące po tych członkach senatu i izby deputowanych, którzy według postanowień konstytucji belgijskiej ustąpić musieli, wypadły stanowczo na korzyść partji katolickiej, będącej od lat czterech u steru. Katolicy utrzymali w nowych wyborach nie tylko wszystkie swe dawniejsze krzesła w senacie i izbie deputowanych, ale nadto jeszcze zdobyli dla siebie dwa nowe krzesła, dotychczas przez liberałów zajmowane.

Zwycięstwo to wzmacnia niezwykle pozycję dzisiejszego ministerstwa i zapewnia podjętemu przez nie dziełu reformy w duchu katolickim wszelkie szanse większego jeszcze niż dotychczas powodzenia. Partja liberalna odsuniętą zostanie na czas dłuższy na bok, co niezawodnie wyjdzie na korzyść ludności i na pomyślność kraju. Rdzeń owej partji liberalnej stanowią bowiem zwolennicy przestarzałej liberalnej, doktrynerskiej szkoły, której polityczne poglądy i sztuczki datują się jeszcze z pierwszych czasów królestwa belgijskiego, z owych czasów, kiedy polityczne zasady szkoły manczesterskiej uchodziły za szczyt mądrości postępowej, a wielbione jako identyfikacja wszelkiego społecznego rozwoju, z największem nabożeństwem wyznawane były. Owóż ta partja liberalna długi czas wodziła rej w Belgji — a cóż się za jej rządów działo? Parlament lekceważył najzupełniej interesa i potrzeby państwa, arena parlamentarna była tylko widownią koteryjnych walk i zabiegów o władzę, o teki ministerjalne.

Wzrastający dobrobyt warstwy mieszczańskiej, obdarzonej niezwykłym duchem przedsiębiorczości; szczęśliwe geograficzne położenie Belgji; hojne wyposażenie jej przez przyrodę w węgiel i żelazo, co w czasach niezwykłego rozwoju przemysłowego ogromnego nabrało znaczenia; wreszcie traktatami zapewniona neutralność Belgji: to wszystko pogrążyło panów liberałów u steru będących w błogie *dolce far niente*, w stan szczególniejszy jakiegoś uśpienia, w którym nie zważali na to, że państwo ma także inne jeszcze interesa i zadania, aniżeli polegające tylko na robieniu jedynie koteryjnej polityki i zdobywaniu tek ministerjalnych.

Pod rządami tej partji parlamenta belgijskie były okazami istotnego zwyrodnienia parlamentaryzmu. Izba z dziwną obojętnością przechodziła do porządku dziennego nad najżywotniejszemi kwestjami, obchodzącemi zarówno państwo jak i społeczeństwo. Można nawet powiedzieć, że ona pomiatała, pogardzała niemi. Partja liberalna, której zadaniem powinno było być istotne dotrzymywanie kroku postępowi powszechnemu, która powinna była w tym duchu pewnemi ustępstwami na rzecz stronnictwa radykalnego temuż stronnictwu od razu kark skręcić, a tem samem zapobiedz jego fuzji z żywiołami socjalistycznemi: ta partja zamknęła się w doktrynie szkoły manczesterskiej, za nieomylną ogłoszonej. Wszelkie żądania rozszerzenia prawa wyborczego odrzucali ci panowie z szyderskiemi drwinami; każdą próbę w tym kierunku, ażeby wzmagającej się coraz niedoli wśród klas robotniczych zapobiedz przez rozumne ustawy socjalne, takie, jakie mamy już oddawna we wszystkich niemal, nawet bardzo konserwatywnych monarchjach, odsuwała partja liberalna, wskazując na „niewzruszone i nieomylne dogmata" szkoły manczesterskiej.

Musiało to sprowadzić katastrofę. I w istocie skutkiem takiego postępowania partji rządzącej, podnosić zaczęły w Belgji coraz to wyżej głowę żywioły radykalne. Oderwały się one od starych liberałów, a to rozbicie osłabiło obóz do tego stopnia, że już w r. 1884 przy wyborach nie mógł on stawić czoła słusznej sprawie partji katolickiej, która, licząc się z istotnemi potrzebami ludności, przyszła z świeżym programem, uwzględniającym te potrzeby. Już w r. 1884 ludność belgijska po większej części przejrzała, nie dała się wziąć na lep przekwitłych liberalnych frazesów i oddała głosy swe reprezentantom reformy

---

56.

RÓZIA.

POWIEŚĆ

przez

Zofję Kowerską.

(Ciąg dalszy).

Doktor wszedł do chorej. Był to człowiek, mający lat czterdzieści, wyniosłej, nieco pochylonej postawy, jaką daje praca nad książkami. Rysy jego o szlachetnych linjach były nieco ostre, miały wyraz twardy, surowy. Oczy były despotyczne, nurtujące do głębi; zdawały się widzieć nietylko dany przedmiot, lecz i to, co się znajdowało po za nim. Była w ich spojrzeniu bezwzględność i jednostronność myśli, górującej nad wszystkiem. Wszedłszy, zaledwie skinął głową Mieczysławowi, zdawał się pogardzać formą zwykłego powitania, od progu już cała jego uwaga skupiła się na chorej jedynie. Usiadł przy jej łóżku i nic nie mówiąc obserwował. Siwe jego oczy to wytężały swój ostry blask w kierunku jej twarzy, to spoglądały ku niemu zamyślone. Wreszcie, ze zwykłą szybkością ruchów, posłusznych myśli na pierwsze zawołanie, wstał, nie troszcząc się o hałas odsuwanego krzesła.

— Niech pani usiędzie, — rzekł dobitnie.

— Nie mogę — jęknęła chora.

— Trzeba. To powiększy chwilowo cierpienie, ale zaszkodzić nie może.

Objął chorą, jak dziecię, i posadził, podtrzymując by nie opadła na poduszki.

Mieczysław patrzał z ciekawością niepokoju, oczekiwał wyroku, lecz Melicki zwrócił się tylko do dozorczyni, dał jej wyraźne i dokładne przepisy postępowania, nie zapominając o najmniejszym szczególe, zapisał receptę; to wszystko z szybkością i pewnego rodzaju szorstkością. Na zapytanie Mieczysława o jakiś szczegół, odpowiedział niecierpliwie:

— Już wszystko powiedziałem pani Jaczkowskiej Jutro przyjadę między trzecią a piątą — dodał, zbliżając się do chorej. — Powiedziałem pani, kilka miesięcy temu u drzwiczek wagonu, że dla młodych zawsze jest nadzieja i dziś to powtarzam. Proszę tylko ściśle spełniać zalecenia pani Jaczkowskiej.

Na biednej, rozrumienionej gorączką twarzy chorej, ukazał się uśmiech. Melicki popatrzał jeszcze chwilę prosto w jej oczy, tym wzrokiem, który sprawiał, że chory nawet w godzinie śmierci wierzył jeszcze, że go ten człowiek uratuje, potem śpiesznie wyszedł z pokoju. W ciemnym kącie korytarza stała znowu niezgrabna postać studenta. Łosicki, z chustką przy ustach, wstrzymywał się od kaszlu. Melicki spojrzał ostro, brwi zmarszczył.

— Iść mi spać! — zawołał.

A gdy Łosicki, jak posłuszny automat, szedł śpiesznie korytarzem, ku drzwiom mieszkania swego, doktor dodał szorstko:

— Będzie zdrowa. Choroba jest ciężka, ale młodość ją uleczy.

Student odwrócił się i Melicki wyczytał z jego twarzy, że, gdyby nie krępująca go nerwowa nieśmiałość, biedny młodzieniec byłby się przed nim rzucił na kolana. Ruszył ramionami z rozrzewnioną wyrozumiałością ludzi nauki, w których ona nie wygasiła uczucia. Dramata życiowe, o które codziennie się ocierał, poruszały w nim zawsze strunę litości i jakiegoś rozżalonego idealizmu, którego nie zdołał pokonać w sobie. W zimnym, ostrym i nieco gburowatym profesorze, budził się jeszcze młodzieniec, jakim był niegdyś: entuzjasta, zakochany w poezji, wykarmiony na Mickiewiczu, Bajronie. Młodzież uniwersytecka traktowana przez niego z szorstkością, z niecierpliwością, przeradzającą się często w niesprawiedliwość, przepadała za nim, widocznie instynktem przeczuwając w nim ten drugi pokład jego charakteru, ukryty w głębi. Od niego przyjmowało się wszystko. Słowo szorstkie nie bolało, nie raniło, jałmużna nie upokarzała, rozkaz nie oburzał miłości własnej, prawda nie obrażała, nagana trafiała zawsze na pokorę, życzliwe słowo, bardzo skąpe, na wdzięczność.

Koledzy profesorowie i lekarze, często, ruszając ramionami, mówili:

— Co oni widzą w tym Melickim! chory ma przy nim nadzieję, każdy student dałby za niego życie, a to prosty gbur i nic więcej.

I pomiędzy lekarzami wszakże miał przyjaciół. Byli tacy, co jego autorytet przyznawali z dobrą wolą, a nawet zapałem.

Rózię wizyta jego natchnęła wiarą. Pomimo, że cierpiała nieznośnie przy każdem odetchnięciu, czuła w duszy uspokojenie, jakie daje nadzieja uzdrowienia. Nietylko dozorczyni, ale i pani Iliska noc przy niej spędziła. Uczyniła to z poczciwej chęci niesienia pomocy chorej, nazajutrz wszakże ulżyła przepełnionemu sercu, żaląc się przyjaciółce, która przyszła ją odwiedzić:

— Moja pani, co ja mam kłopotu, to tylko jeden Bóg wie. Nie dość, że się z chłopaczyskami cały dzień ujadać muszę, że każdy tylko czeka na to, żeby miał wszystko urządzone, przygotowane, że każdemu ugotuj, upiecz, nakryj, ale jeszcze i nocy dospać nie można. Dziś się wcale nie kładłam! Moja pani, to końskiego zdrowia trzeba! Nasza lokatorka zapalenia płuc dostała, i tak zawsze jakaś bieda, jakiś kłopot.

Choroba przeciągnęła się dni kilka, przynosząc, jak zwykle, otaczającym chwile trwogi przy cięższych objawach, to znowu błyski nadziei, aż nareszcie przyszło przesilenie, poty; gorączka ustała, chora była uratowana. Szalona orkiestra ucichła w jej uchu, widziadła ustąpiły z przed jej oczu, tylko się czuła zupełnie sił pozbawioną.

Melicki odwiedzał ją codziennie, zwykle zaledwie parę minut jej poświęcając. W dniu, w którym rozpoznał, że gorączki nie było, pozostał dłużej przy jej łóżku; rozsiadł się w fotelu, jak gość, któremu jest dobrze i wygodnie, lub człowiek, wypoczywający swobodnie. Niewidziany dotąd uśmiech ukazał się na jego surowej twarzy.

— Przyjemnie jest wracać do życia? — zapytał, patrząc na pobladłą twarz chorej.

— Przyjemnie jest nie cierpieć... a żyć?... i żyć przyjemnie, — dodała, obracając ku niemu wzrok zmęczony i bez blasku.

— Cieszy mię, że pani to czujesz... Gniewają mię ludzie, nie znajdujący żadnej rozkoszy w tem, że są młodzi, że mają członki elastyczne, płuca zdrowe, wzrok bystry, sen dobry... Posiadać to wszystko i żalić się, czuć się nieszczęśliwym...

— Czasem przychodzą takie chwile...

— A tak, bo jesteśmy generacją zdenerwowaną, przywykłą do potrzeb sztucznych, których życie nie zadawalnia. Wyobraźnia chorobliwa, daje nam zachcianki niezdrowe. Cóż na przykład pani brakowało do szczęścia? Nie mów pani, bo to panią męczy; ja sam na zapytanie odpowiem. Pani nie wystarczała powszedniość życia... Bohaterki powieściowe przechodzą przez różne wielkie wzruszenia, postawione są na rozdrożu, wychodzą zwycięzko z dramatycznych sytuacyj, miewają tentacje silne, wzbudzają namiętności szalone, a życie zwykle tego wszystkiego nie daje... Marzycielstwo przedstawia obrazy, które się w rzeczywistości nie sprawdzają... Widzę tu fortepian, stosy nut... pani jesteś muzykalną... To sztuka denerwująca, zaostrzająca wyobraźnię, dająca przeczuwać ideały, które nie istnieją, krzewicielka nieujętych tęsknot, unosząca w sfery, z których spadając, człowiek łamie sobie skrzydła... Marzycielka, artystka, gatunek najmniej zdrowych kobiet! Żyje to nerwami i zużywa je, daje życie pokoleniu bezsilnemu... No, bądź pani zdrowa. Radzę zatrzymać panią Jaczkowską jeszcze dni kilka. Pani potrzebujesz jeszcze starania długiego.

— Pan już nie przyjdziesz? — spytała Rózia.

— Mam czas bardzo zajęty... zobaczę... może zajrzę jeszcze.

Rózia była zbyt osłabiona, by mogła zastanawiać się nad przemową moralno-filozoficzną Melickiego, przymknęła oczy, wypoczywając bezmyślnie. Jaczkowska rzekła, ruszając ramionami:

— Tym doktorom zawsze się zdaje, że kto zdrów, to już nieszczęśliwym być nie może. Mój Boże...

Tu zaczęła litanię nieszczęść własnych, spadających na nią, zdrową najzupełniej.

Rózia słuchała skarg dozorczyni, jak jakiegoś potoku słów, mających dźwięk, lecz nie mających znaczenia. Umysł jej zdawał się być spowitym w jakąś senną mgłę, niedopuszczającą myśli.

(C. d. n.)

w duchu katolickim. Dwuletni okres parlamentarny do r. 1886 okazał, że partja katolicka nie zawiodła położonego w niej zaufania, bo oto mimo nadzwyczajnej agitacji w r. 1886 liberalni znowu ponieśli klęskę, a dzisiaj, przy najświeższych wyborach klęska ta jeszcze do większych doszła rozmiarów.

Dzisiaj partja katolicka swój program reformy szczególnie w dwóch kierunkach urzeczywistnić zamierza, a mianowicie w dziedzinie szkolnictwa ludowego tudzież w kwestji rozszerzenia prawa wyborczego. Szkoła ludowa w Belgji pozostawia dzisiaj z wielu względów dużo do życzenia, szczególniej tem, że dzięki poprzedniemu systemowi rządowemu kierownictwo jej spoczywało w rękach bezwyznaniowców. Reforma szkoły w kierunku bardziej religijnym ma na celu utrudnić przystęp do serc ludu agitacjom, szerzącym zgubne idee przewrotu społecznego, które już tu i ówdzie w Belgji przyjmować się zaczęły i ku zgrozie całego świata wywołały znane epizody z życia robotników, dla samychże ofiar agitacji najfatalniejsze.

W drugim kierunku dąży partja katolicka do rozszerzenia prawa wyborczego w Belgji. Dotychczasowy dość wysoki cenzus majątkowy wyklucza klasy niższe, mniej posiadające, zupełnie od prawa wyborczego, a zatem od prawa reprezentacji swych najżywotniejszych interesów, związanych najsilniej z interesami państwa. Zamierzona reforma zaspokoi przeto nietylko słuszne żądania klas mniej uposażonych w majątek i pracujących fizycznie, ale nadto może zapewnić rządowi dzisiejszemu w przyszłości jeszcze poważniejszą większość w ciałach reprezentacyjnych, co dla zupełnego przeprowadzenia koniecznych w Belgji reform ustawodawczych będzie rzeczą niewątpliwie nader pożądaną.

Przepowiednia dla domu Hohenzollernów.

Na piaskach Brandeburgji w dzisiejszym okręgu poczdamskim polował ongi Otto I. założyciel marchji brandeburskiej. Znużony łowami, które w owych czasach wyglądały nieco inaczej, niż dzisiaj, zasnął w cieniu drzew, a że był zapalonym myśliwym, więc mu się śniło, że go napadła rozjuszona łania. Zgodniejszy z duchem dziejów byłby sen o wilku, ale skoro sumienni historycy niemieccy wyraźnie mówią o łani, przeto nie godzi się wątpić ani na chwilę, że łagodne zresztą zwierzę ucieliło pobość kogoś, co sobie sam rościł do tego pretensję. Otton I. ślubował z powodu owego snu wybudować klasztor na tem miejscu i rzeczywiście wkrótce stanęły pośród leśnej puszczy wspaniałe mury klasztoru cystersów, który otrzymał nazwę *Lehnin.*

Uczeni niemieccy wywodzą tę nazwę od słowiańskiego wyrazu: *lenie* (łania), coby chyba wskazywało, że może pierwsi zakonnicy byli słowianami. Ba — ale dzieje stwierdzają, że pobożni cystersi staczali częste walki z okolicznymi wendami i że tam nie jedna słowiańska głowa padła pod toporem germańskim.

W czasie reformacji klasztor coraz więcej upadał, a po wymarciu ostatnich kilkunastu mnichów, którym zabroniono przyjmować nowicjuszów, stał się wkrótce smutną ruiną. Dopiero cesarz Wilhelm zarządził odbudowanie tego starożytnego zabytku, owczesny zaś następca tronu, a zmarły niedawno cesarz Fryderyk był w r. 1877 obecny podczas uroczystości założenia kamienia węgielnego.

Że pierwszy cesarz niemiecki rozkazał odbudować ten właśnie pomnik, było to nie bez intencji, o czem przekonamy się w dalszym ciągu pruskiej legendy.

Znany w dziejach „wielki kurfirszt“ także podobno podczas polowania, albo jak chcą inni, podczas oględzin klasztoru miał znaleźć przypadkowo w r. 1640 metalową skrzynkę, w której przechowany był rękopis p. t. „*Vaticinium B. fratris Hermanni, monachi quondam Lehninensis qui circa annum 1300 floruit*“. Że rękopis był podrobionym nie ulega wątpliwości, tylko co do osoby autora podrabiacza krążyły sprzeczne domysły. Padały podejrzenia na rozmaite osobistości, a naturalnie, jak zwykle, także i na jezuitów.

Owo proroctwo spisane było w stu *leoninach* (rymowany *hexameter* i *pentameter*) oczywiście w języku łacińskim i zawierało przepowiednię przyszłych losów dynastji Hohenzollernów. W tak ciasnych ramach autor nie mógł pomieścić żadnych szczegółów i musiał poprzestać na ogólnikach, co zresztą czyni każdy rozsądny prorok, jeżeli się nie chce narazić na kompromitację, chociażby po śmierci.

Całość dla nie-niemieckich czytelników nie ma aktualnego interesu, dopiero końcowy ustęp ze względu na ostatnie wypadki nie jest pozbawiony attyckiej soli. Jasnowidzący prorok przepowiada, że dom Hohenzollernów dojdzie do największej w świecie potęgi i że potem runie ostatni z tego rodu, a Rzym odniesie zwycięstwo nad Lutrem..

Cesarz Wilhelm, wierny tradycjom trzeźwego racjonalizmu, a może w upojeniu potęgi, kazał odbudować owe mury — zawistne fatum zrobiło swoje i położyło żelazną dłoń na schorzałej postaci królewskiego męczennika.

Przypadek, nic więcej jak tylko przypadek — a jednak ile w nim nauki...

Kółka rolnicze.

Przemyśl 25 czerwca.

W wczorajszej korespondencji donosiłem o popisie i premiowaniu pługów, urządzonem przez Zarząd główny Kółek, podczas walnego zjazdu członków w naszem mieście.

Dziś powracam do tego konkursu, aby podać jego wyniki.

Na dwa dnie przed przyznaniem nagród, komisja, złożona z pp. Rylskiego, profesora szkoły dubiańskiej, Sikorskiego, Skarbniewskiego, Ebenbergera, Gostyńskiego i Pawlikowskiego, badała zalety przysłanych pługów w robocie na polu, mając głównie na oku, któreby z nich odpowiadały potrzebom małych gospodarstw rolnych.

Rozdzielono je na 4 kategorje. Do pierwszej wzięto pługi odpowiednie glebie ciężkiej, do drugiej właściwe glebie lżejszej, do trzeciej pługi zwane „rajole“, do czwartej płużki do ogartywania roślin okopowych.

W tych czterech kierunkach przeprowadzano doświadczanie pługów, aby odpowiedziały wymaganiom konkursu. Komisja przez 3 dni oceniała sumiennie, a nawet może zbyt surowo, ale z wyrozumiałością, bo warunki dla wystawców nie były sprzyjające. Naprzód gleba, w jakiej pracowano, była ciężka; następnie panowała słota; a grunt, na którym demonstrowano, był świeżem karczowiskiem. Pomimo jednak tych ciężkich warunków, większość pługów wyszła z próby zwycięsko.

Wystawcami były wyłącznie firmy krajowe, gdyż w konkursie wzięła udział tylko jedna zagraniczna fabryka narzędzi rolniczych.

Zgłoszeń było w ogóle 50, z tych próbowano 38 rozmaitych pługów.

Komisja sędziów przyznała:

w I kategorji pługów: Froelichowi z Nowego Sącza medal srebrny państwowy — Dornwaldowi list pochwalny galic. Tow. gospodarskiego;

w II kategorji pługów przyznano: Chabce z Gródka medal srebrny państwowy;

w III kategorji pługów: Marcinkowi z Mogiły za 2 pługi medal srebrny państwowy, Umrathowi z Pragi za pług Sacka medal srebrny państwowy;

w IV klasie płużków przyznano: Cegielskiemu, Wycherze, Marcinkowi — listy pochwalne.

Nadto z narzędzi pozakonkursowych uznano 2 sieczkarnie Waligóry ze Starego Sącza za dobre i tanie, i bronę sprężynową Umratha dla wielkich gospodarstw za dobrą.

Obok tego wyraziła komisja wystawcom krajowym błędy, których radzi w interesie dobra wystawców unikać, jak niejednostajność wyrobów, lekceważenie publiczności przez brak napisów na pługach, tak że nie można wiedzieć, do czego to narzędzie służy, wysoka zbyt cena narzędzi — szczególniej, że zagraniczne takie same są tańsze. Po odczytaniu sprawozdania komisji przez jej sprawozdawcę profesora Rylskiego i po wręczeniu wystawcom medali i dyplomów, prezes Zarządu p. B. Augustynowicz w kilku słowach podziękował wystawcom za przesłanie okazów a komisji i jej referentowi za trudy w ocenianiu pługów, i tem przemówieniem zamknął czynności Zjazdu.

Mały Fejleton.

O MODACH.

Dzisiejsze urządzenia mieszkań zdają się tylko na pierwszy rzut oka czemś nadzwyczajnem, potrzebującem koniecznie wiele pieniędzy i bogatych przyborów. W istocie bowiem są jedynie zręcznem zestawieniem sprzętów i połączeniem gustu i fantazyjnej twórczości, wdzięku i pewnej rozmaitości w szczegółach.

Nie trzeba więc dawać się uwodzić pozorom i myśleć, że moda wymaga koniecznie nadzwyczajnego wysiłku w wydatkach, i każe je ponosić w celu przyozdobienia mieszkań. Przeciwnie, więcej niż kiedykolwiek, dzisiejszy sposób umeblowania łączy w sobie warunki, którym najbardziej nawet skromny wysiłek zadość uczynić może. Moda opiera się tu głównie na kobiecej pomysłowości. Każda kobieta obdarzona sprytną ręką, potrafi stworzyć miłe gniazdko i przystroić je tak, aby nie wystraszało, ale więziło i przytrzymywało osoby należące do kółka rodzinnego.

Na pierwszem miejscu trzeba tu postawić wdzięk i zamiłowanie w pięknie, porządku i czystości — są to bowiem podstawy bez których żadne mieszkanie, choćby nawet najwytworniejsze, wykwintnością swą nikogo nie zniewoli. — Obojętność i zaniedbanie przebiją się z po za osłon aksamitnych usiądą na zaprószonych kanapkach i wydrzeźniać się nie przestaną, wśród z żółkłych roślin — natomiast staranna i skrzętna pamięć o wszystkiem nada perkalikiem pokrytym fotelom i nie wymyślnym drobiazgom ten wdzięk przyjemny, który zewsząd uśmiechać się nie przestanie, choćby umeblowanie skromne było a wcale niekosztowne nawet.

Do upiększenia pomieszkań na modny sposób, w wysokim stopniu przyczyniają się roboty rozmaite, bądź jako nakrycia stoliczków, bądź jako malowane półmiski zdobiące jadalnią, bądź jako zręczne parawaniki, tak bardzo ulubione teraz i zajmujące miejsce w salonach choćby najwystawniejszych. Większe pomieszkania mają jeszcze oprócz powyższych ozdób, portiery i makaty pokrywające ściany, które wszystkie pracowita ręka kobiety haftem albo malowidłem może wytworniejszemi uczynić. Trzeba nam zawsze pamiętać, że główną cechą teraźniejszych przystrajań jest samoistna pomysłowość. Zatem praca ręczna jako wyraz tej pomysłowości, najwdzięczniej odpowiada celowi.

Nie kosztuje tak wiele zrobienie ładnego nakrycia na mały stoliczek, stoliczki zaś teraz muszą być ponakrywane wszystkie i wszystkie muszą być małe. Kawałek kretonu w kwiaty, które się filozelą pozaszywa, pilnując aby kolor kolorowi i cień cieniowaniem liści i kwiatów odpowiadał — zapełni kilkanaście godzin, spędzonych na słuchaniu czytania dziecka lub rozmowy sąsiadek, a wykończony, posłuży do nakrycia spełzłego blatu, nadając mu wytworniejszy pozór. Ten sam kawałek kretonu, ale jeszcze mniejszy, podłużnie zeszyty z kawałkiem aksamitu lub materji, zahaftowanej złotą nitką, podczas gdy na aksamicie przyszyje się wyciętą gałązkę lub ptaszka z kretonu i zahaftuje jedwabiem — da nam śliczną poduszkę, którą wraz z wielu innemi rzucimy na kanapę, albo zrobimy z niej podnóżek. Zamiast kosztownego siedzenia weźmiemy model na kanapę bardzo wytworną z dawnych pomysłowych kanap, któremi w kąpielowych miejscowościach, niedostatecznie umeblowanych, babki nasze z sienników tworzyły, ze zmianą tą jedynie, że każemy stolarzowi zrobić ramy i nogi, że tapicer przybije na tych ramach odpowiednie wielkością do użytku jaki z niego mieć chcemy, obleczone płótnem szarem siedzenie, a pracowite rączki pokryją owe siedzenie naprzód: do koła zahaftowaną kapą z rypsu, poczem za oparcie dodadzą trzy poduszki, każda 65 ctm. wysoka i 38 c. szeroka, jedna przy drugiej, wszystkie haftowane i także z rypsu, podszyte perkalem kolorowym, która to podszewka mieć będzie 66 ctm. szer., 22 c. wys. Ozdobi się te poduszki kutasami u rogów, a rogi przymarszczy, — i oto śliczne siedzenie gotowe.

Co do parawaników, robią je rozmaicie, z atłasu malowanego olejnemi lub metalowemi farbami, z sukna zahaftowanego jedwabiem i włóczkami, z kretonu o charakterystycznem deseniu, naśladującym stare gobeliny. Najwytworniejsze mają ramy z pluszu i podszewkę jedwabną, mniej wytworne, podszewkę wełnianą, a ramy z drzewa. Nie trzeba koniecznie uciekać się w obicie parawaników do tapicera, który za to liczy wiele bardzo, lecz samemu wziąć się do dzieła.

Widzieliśmy parawaniki, których sama robota tapicerska kosztowała 70 zł. — jestto więc rzecz nader kosztowna.

Opis ładnego parawanika wyjmujemy z *Bluszczu*. Złożony z 3 skrzydeł, ma środkowe skrzydło wyższe od bocznych. Strona zewnętrzna obita gładko suknem koloru piaskowego i ozdobiona haftem, strona zaś wewnętrzna, pokryta materjałem bawełnianym tegoż samego koloru. Na dwóch bocznych skrzydłach rysunek przedstawia pannę, na środkowym dziewczę z kwiatami i kłosami w rękach. Figury te, obwiedzione do koła ramą haftowaną na suknie w deseń grecki, haftują się cienkim białym i czarnym jedwabiem ściegiem gałązkowym — kwiaty i grecka ramka ściegiem atłasowym i supełkowym rozmaitego koloru filozelą.

Kolor obicia parawanika może być wcale różny od mebli, a nawet kilka rozmaitych stawia się w jednym pokoju. Zasłaniać mają od przeciągów, więc trzeba je umieszczać w sposób usprawiedliwiający choć trochę to przeznaczenie.

Kwiaty w wysokim stopniu przyczyniają się do dekoracji salonu. Dobre ich utrzymywanie stanowi jedną z wybitnych cech staranności pani domu. Pozostawienie roślin na opiece sług, nic dobrego nie przynosi, kwiaty prędko niszczeją gdy braknie im inteligentnej pieczy. Odczuwają niejako miłość, którem się je otacza, płacąc za nią pyszną zielonością i barwą.

Jedną z nowości, zaprowadzonych w jadalniach, jest usunięcie lamp wiszących nad stołem — zastępują tę lampę kandelabry na dwóch końcach stołu jadalnego, lampy i świece rozstawione w całym pokoju.

Kiedy mowa o jadalni, nasuwa się na myśl i samo jedzenie. Dawne obiady, utrzymuje moda, były nadto długie i obfite. Podawano wielkie sztuki, ryby w całości, polędwice i pieczyste, które przy stole dopiero tranżerowano. Teraz nic z tego, półmiski przynoszą z potrawą pokrajaną zupełnie; jestto bardzo wygodne. Co do win: nie stawia się już całego bataljonu kieliszków przed każdym z gości, nic, oprócz szklanki i jednego kieliszka na zwykłe wino. Lepsze wina podaje służba na tacach w kieliszkach już nalanych. Nie można udać, że się nie widzi jak lokaj dolewa w kieliszek, który niby przez zapomnienie raz po raz wychyla gość, lubiący pić więcej. Zwyczaj to był nadto wysuszający piwnicę i... kieszeń amfitrjona, a moda dąży, wraz z biedą, do coraz większych oszczędności. W końcu najświeższym pomysłem jest ustawianie na stole dwóch dużych półmisków „*de cuivre ancien*“ piramidami owoców egzotycznych: bananów, granatów, winogron, fig; kwiaty w środku stoją między tymi półmiskami i w dwóch końcach stołu, a oprócz tego girlandy do koła, wieńce z bzu białego, rozrzucone na obrusie i małe bukieciki na wszystkie strony wśród nakrycia. Dotąd uważano na gości, ażeby zbyt mocny zapach nie był im przykry, dziś ani baczą na to, tem gorzej dla tych, którzy cierpią migrenę!

Wyścigi konne we Lwowie.

Wczoraj nie było na torze lwowskim wyścigów właściwych. Były jedynie tak zwane „popisy“, praktykowane w tych czasach nietylko na arenie kursowej.

W skutek tego publiczności zebrało się w lożach i na trybunach nie wiele. Tak zwany „parter“, zaszczycany obecnością publiczności opłacającej cztery centy wstępu na miejscu wyścigów, był bardzo słabo obsadzony.

Do popisu koni wierzchowych, „szkolnie ujeżdżonych“ stanęły tylko dwa konie, a to: porucznika Kruki „G r o o m“ wałach 4½ letni, tudzież klacz porucznika K. Kleyle'a, nosząca nazwisko „C o u r e d a m e.“ Piękna ta klacz okazywała w każdym ruchu wyborną tresurę, w pokonywaniu przeszkód zaćmił ją jednak „Groom“ zupełnie, i całkiem zasłużenie wziął pierwszą nagrodę.

Drugim punktem programu wczorajszego popisu było „skakanie koni wierzchowych.“ Do tego popisu stanęło ośm koni, a to: rotmistrza ułanów Hen. Siebera klacz gniada „V e r a“, tegoż „H a f i z“, por. Mattenchoita wałach „N a b o b“, Jana hr. Łubieńskiego klacz „B l a n c h e“, pułk. hr. Lippe (jeździec por. Obertyński) klacz „I s m e n e“, por. hr. Trauttmansdorffa klacz „S u n s a r“, por. Dydyńskiego klacz „B e l c r e d e“ i por. br. Erlangera (jeździec por. Becher) wałach „P r i n c e.“

Bieg był nadzwyczaj interesujący. „B l a n c h e“ pod hr. Łubińskim upadła zaraz przy pierwszej przeszkodzie, na szczęście w sposób dla jeźdźca wcale nieszkodliwy. Hr. Łubiński w porę jeszcze zeskoczył z upadającego konia, w moment dosiadł go napowrót i prowadził go już odtąd gładko przez — i ponad wszelkie przeszkody.

Tryumfatorką w tym popisie była „I s m e n a“ hr. Lippe. Jej przyznali sędziowie nagrodę honorową, ofiarowaną przez hr. Alfreda Potockiego i hr. Alberta Cetnera a przedstawiającą się w kształcie złotego zegarka.

Z kolei nastąpiły gonitwy myśliwskie (*Schnitzeljagd*) w których wzięło udział tylko pięciu panów. A mianowicie biegali pp. Mysłowski na „K i n d ż a l e“, porucznik Becher na „S c o l l o p S h e l l“, porucznik br. Erlanger na wałachu „P r i n c e“, porucznik Obertyński na „I s m e n i e“, wreszcie porucznik Filinger na klaczy „B l a n c h e“.

Przez całą gonitwę doskonale spisywał się „K i n d ż a ł“, o którym jednak niestety powiedzieć potrzeba, że: „płynął, płynął, aż u brzegu utonął“. Zacukał się u ostatniej przeszkody, musiał brać do niej rozmach trzy razy i dopiero trzecim razem ją wziął. Wtenczas było już za późno. Metę, do wzięcia której potrzeba było przebyć 6000 metrów, wzięła „B l a n c h e“ pod porucznikiem Filingerem, który to dzielny jeździec otrzymał nagrodę honorową w kształcie pięknego serwisu śniadaniowego.

Dzień wczorajszy na torze zakończył się defiladą zaprzęgów pojazdowych, wśród których najbardziej zwracały uwagę na się dwie czwórki u pojazdów hr. Alfreda Potockiego i konie hr. Siemieńskiego.

O godzinie siódmej, nastąpił powrót do miasta.

Dziś trzeci dzień wyścigów.

Kronika.

Lwów, dnia 26 czerwca

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej swej szkatuły gminie Rzepiennik suchy, w powiecie gorlickim, na dokończenie budowy szkoły, zapomogi w kwocie 100 złr.

Prezydent wyższego sądu krajowego we Lwowie, p. J. Simonowicz, wyjechał w sobotę do Wiednia, a ztamtąd uda się na 8 tygodniowy urlop do Karlsbadu, następnie zaś do Szwajcarji.

W Uniwersytecie Jagiellońskim w sobotę p. Henryk Witold Steinkeller, rodem z Podgórza, otrzymał stopień doktora wszech nauk lekarskich.

Sprawozdanie poselskie. *Kurjer stanisławowski* donosi, że w czwartek dnia 28 b. m. stanie przed wyborcami dr. Leon Biliński, poseł do Rady państwa z miasta Stanisławowa, aby zdać sprawę z swoich czynności poselskich.

Wydział wierzycieli upadłego banku kredytowego i zastawniczego wzywa ich do zebrania się dnia 27 b. m. o godz. 4 popołudniu w tut. c. k. sądzie krajowym celem wyboru jednego członka Wydziału w miejsce zmarłego ś. p. L. Gajewskiego.

Nekrologja. Jan Romański, obywatel m. Rzeszowa, zmarł tamże d. 22 b. m. w 76 roku życia.

Juljan Wiśniowski, były inżynier kolei Łepkowskiej, przeżywszy lat 35, zmarł w Mikołaju koło Wadowic.

Lutnia. Ostatnia próba przed wieczornicą odbędzie się we środę dnia 27. b. m. o godzinie 12-tej w południe w sali Tow. na którą Zarząd wszystkich członków chóru męzkiego uprzejmie zaprasza.

Fałszywa wiadomość. Niedawno powtórzyliśmy za *Krajem* petersburskim wiadomość, że hr. Lanckoroński zamierzył niektóre z dóbr swoich w Galicji sprzedać br. Hirschowi, znanemu filantropowi z Paryża. Dodaliśmy jednak uwagę, że wiadomość ta nie zdaje się prawdopodobną. I rzeczywiście pokazało się że *Kraj* miał informację fałszywą, bo w najświeższym numerze zamieszcza następujące sprostowanie: W numerze 20 czasopisma *Kraj* przeczytałem wiadomość, jakobym miał zamiar niektóre z moich dóbr ziemskich sprzedać baronowi Hirschowi z Paryża. Ponieważ ta wiadomość jest zupełnie bezpodstawną, proszę jak najuprzejmiej Szanowną Redakcję o spieszne odwołanie takowej, przez umieszczenie niniejszych moich słów w łamach szanownego dziennika.

Z wyrazem poważania

Karol hr. Lanckoroński.

Zarząd masy rozbiorowej Towarzystwa handlu skórami ogłasza, że wszelkie do upadłego Towarzystwa należące towary t. j. skóry i materjały szewskie sprzedaje ryczałtem w drodze ofert za cenę wyższą od sądowego ich oszacowania t. j. powyżej kwoty 11.650 zł.

W bilansie przedkonkursowym, sporządzonym w celu wdrożenia sanacji, magazyn upadłego Towarzystwa oszacowany był na kwotę 17247 zł. 43 ct., a z tego widać, że oszacowanie to tendencyjnie przeprowadzone było wyższem od rzeczywistej wartości o bagatelną sumkę 5597 zł. 43 ct. i stąd dla wierzycieli Towarzystwa a jeszcze więcej dla jego członków, miła perspektywa, jeżeli w tym samym stosunku okazywać się będą niższemi wszystkie bilansem wykazane aktywa upadłego Towarzystwa. Jeśli dalej tak rzecz pójdzie, będzie prawdopodobnem, że majątek Towarzystwa zaledwie wystarczy na koszta masy rozbiorowej, a kilkadziesiąt tysięcy zapłaci nieograniczona poręka byłych członków upadłego Towarzystwa.

Język polski. Ze Złotego Potoka nadesłano nam woreczek papierowy z drukowanym następującym napisem:

„Rubin Piezienik
Potokzlote
Handel korzeny galanteryjni
i Damski krawiecki doklad.“

Że p. Rubin Piezienik nie umie ani mówić ani pisać poprawnie po polsku, to w tem nie ma nic dziwnego. Ale co jest dziwnem, to to, że swoje woreczki papierowe musi on posyłać do druku do Wiednia lub Pragi, gdzie mu na nich takie wypisują dziwolągi, a nie może znaleść przedsiębiorcy, któryby mu za tę samę cenę co fabrykant praski lub wiedeński dostarczał tych woreczków. — Tyle drukarń we Lwowie umiera z głodu, a żadna nie decyduje się na ujęcie w swe ręce tego przemysłu, który zapewne dochód przynosi, skoro go uprawiają na eksport Niemcy i Czesi.

Pustynnik w Galicji i na Bukowinie. W r. 1860 pojawił się po raz pierwszy w środkowej Europie nowy ptak, który z wiosną zawitał do Holandji i Wielkiej Brytanji. Był to p u s t y n n i k (Syrrhaptes Pallasii), kurak kształtu gołębia z długimi kończastymi skrzydłami i ogonem klinowatym. Ptak ten przebywa stale na stepach i piaskach Azyi środkowej a z przyczyn nieznanych odbył tak daleką wędrówkę. W dwa lata później pojawił się znowu w Europie, a tym razem obserwowano ciąg jego od Brodów w Galicji aż do wybrzeża Irlandji jak to Brehm podaje. Wówczas osiedliły się były pustynniki na wyspach fryzyjskich przy zachodniem wybrzeżu Szlezwiku, gnieździły się tam i wywiodły jedno pokolenie młodych.

Z wiosną roku bieżącego zawitał ten rzadki a pożądany gość ponownie i obrał sobie jak się zdaje drogę przez Bukowinę i Galicją, ciągnąć do piaszczystych wydm szlezwickich. Ponieważ jest nadzieja że pustynnik stale w Europie osiedlić się zechce i pomnoży liczbę ptaków łownych, przeto pojawiły się odezwy wzywające do opieki nad nim i obserwacji zachowania się jego na obczyznie. Z Galicji pierwszy „Łowiec“ podał o pustynniku wiadomość i już przed dwoma miesiącami zachęcał miłośników przyrody do badań na tym ptakiem. W ostatnim numerze z dnia 1. Czerwca b. r. zamieścił „Łowiec“ artykuł, w któ-

---

2)

Zaślubiny lekarza.

Opowiadanie **A. F.**

(Ciąg dalszy).

— A pocóż by się żenił? — zapytał Michał, powtarzając sentencją swojego panicza.

— To prawda! — odpowiedziała p. Bialska, jak echo niedawno przebrzmiałych słów Michała.

— Już odpoczęłam — mówiła dalej — chodźmy zobaczyć, jak on się tam urządził?

— Bogać tam urządził! — zrzędził Michał, on na nic nie ma czasu.

Jednakże miło było w skromnym saloniku doktora. Wesoły promień jesiennego słońca wpadał przez szyby okien i oświecał dwa jednakowych rozmiarów portrety. Patrzały z nich pogodne twarze rodziców Adama, zmarłych przed kilkunastu laty: mężczyzna w sile wieku, z szeroką blizną na białem wyniosłem czole i kobieta o delikatnych rysach, śniadej cerze i wielkich czarnych oczach — typ Madony Murilla.

— Prawda, jaki nasz doktor podobny do matki — rzekł stary, wskazując na portret.

— Jak dwie krople wody.

— To tak z twarzy, ale natura ojcowska, niby hardy, a taki kochany; niby złośnik, a taki dobry...

— Oj wiem, wiem — panie Michale.

— Ale cóż to? — mówiła rozglądając się na wszystkie strony i w miarę przeglądu krzywiąc się coraz więcej — tu gorzej jak u zakonnika: ani wazonów, ani firanek, ani..... fe!....

— A zaraz fe! — ofuknął się obrażony Michał. Nie ma tu żadnego fe!... czysto, porządnie, i koniec. Tam pokój pełen szaf z książkami, czyż to bagatela! a tu jeden zegar więcej wart, niż wszystkie firanki i wazony z całego miasteczka; takiego i w Warszawie poszukać ze świecą. — Czy i ten zegar fe?... co?...

— Zegar, jak zegar, ja się tam nie znam na tych marmurach i bronzowych figurkach, ale bez wazonów, firanek i serwety bawialny pokój nic nie wart; poczekajcie, za godzinę będzie wszystko; tymczasem panie Michale schowajcie to pudełko z tortem do szafy, tylko ostrożnie, a pamiętajcie, żeby była butelka dobrego wina w zapasie, bo tort bez wina nie uchodzi, ja zaraz powrócę.

Staruszka sapiąc i drepcząc wybiegła z pokoju.

Wkrótce potem salonik doktora wyglądał jak ogrodowa altana w maju. P. Bialska z pomocą kilku jeszcze wdzięcznych pacjentek p. Adama, ustawiła po rogach dwa przepyszne fikusy, na oknach kwitły fuksje, pelargonje, róże, goździki, rezeda, pielęgnowane przez nią w wazonach— poczciwa staruszka oddała wszystko dla swojego doktora.

— Czy zawiózł pan doktor mirt dla swojej narzeczonej? — zapytała Michała.

— Jaki mirt?

— Ten, zielony, co to bez niego panna młoda ani rusz do ślubu. Ani im w głowie!.. słucha jak o żelaznym wilku — skaranie boże!... — No, to już ja od siebie poślę jej mirt, ot taki wysoki... pewnie na dwa łokcie — ogromny mówię! i każę mojej Zuzi powiedzieć tak: pan doktor się kłania i posyła mirt panience...

— Przez Zuzię!.. ot tobie masz! — zaśmiał się Michał. — Kawaler przez jakąś tam fertyczną dziewczynę będzie swojej pannie mirt posyłać!... nie wiedzieć co takiego... Jeszcze zrobi się awantura.

— No, to poszlę przez Piotrusia, — odparła trochę zdekoncertowana p. Bialska.

Porządkowała dalej wazony w asystencji panny Zenobji, swojej starej przyjaciółki.

— Postawże ten heliotrop na samym widoku, — doradzała panna Zenobia — kwiat heliotropu jest symbolem miłości, — dodała sentymentalnie wzdychając pod urokiem wspomnień odległych.

Daremnie Michał protestował utrzymując, że to wszystko panicz wyrzuci, bo mówi, że wazony dają wilgoć.

— Niech sobie wyrzuca, — odpowiedziała z rezygnacją p. Zenobia.

— Nie zrobi tego — zaprzeczyła p. Bialska — wyrzucić takie wazony!

Rzeczywiście ładnie i wesoło było w saloniku doktora z tą zielenią i kwiatami, a wonno, może nawet za nadto wonno z łaski heliotropu, tego kwiatu miłości. Mówiąc nawiasem ten tylko kwiat musiał ustąpić, bo doktor za przybyciem swoim wręcz oświadczył, że zapach heliotropu w pokoju jest zbyt silnym, więc szkodliwym, nie chcąc jednak robić przykrości uczynnym sąsiadkom, a obawiając plotki Michała, w sekrecie przed nim, zerwał nielitościwie parę najpiękniejszych rozkwitłych gałązek i wrzucił do kominka. To był jedyny porządek, jaki zrobił w swoim mieszkaniu. Szydełkowych darów p. Bialskiej nie zauważył nawet, a szkoda, byłby może nie pozwolił zeszpecić serwetą pięknego staroświeckiego stołu. P. Bialska, która na całą okolicę słynęła ze swojej biegłości w szydełkowych robotach, od dawna przygotowywała tę jak nazywała s i u r p r y z ę dla kochanego doktora i umyślnie wprzód przyszła na zwiady, czy jej kto nie uprzedził. Niby się zgorszyła, nie znajdując u niego firanek i serwety, ale jakżeby się była zmartwiła w razie przeciwnym, przepadłaby siurpryza!...

— Może on tego i nie zauważy — mówiła do Michała, rozględając się z zadowolnieniem do koła — on taki zajęty! ale ona to oceni; trzeba być kobietą, żeby się poznać na takiej robocie. Fraszka, parę funtów bawełny, ale przez krągły rok ś c i u b a ć po oczku i w y ś c i u b a ć takie desenie, to nie każdy potrafi. Inna rzecz robota warsztatowa, a inna ręczna, takie roboty na wagę złota płacą teraz w Paryżu...

P. Bialska tak zaimponowała swoim arcydziełem Michałowi, że pomyślał w duchu: To nic, że panicz nigdy od niej grosza nie wziął, choć przez cały rok kurował jej nieboszczyka męża, wypłaciła mu się teraz poczciwa kobiecina.

Tak więc mieszkanie p. doktora było urządzone z należytym komfortem, nie brakło nic, nawet wazonów, serwety, firanek i torta, który na herbacianym stole, zasłanym białym obrusem, wyglądał według poetycznych słów panny Zenobji, jak klomb kwiatów na śniegu. P. Bialska znikła jak czarodziejska wróżka, zostawiając dobroczynny ślad swych odwiedzin. Wróciła do szydełkowej roboty, którą ciągle tego wieczora pruć musiała, bo myśli o jutrzejszym obiedzie dla nowożeńców, nie dawały jej spokoju.

Po nieszporach orszak weselny wychodził z kościoła.

Tłok był ogromny, brakowało tych tylko z mieszkańców miasteczka, których nieubłagana konieczność zatrzymała dnia tego w domu. Do ich liczby należała p. Bialska — poniosła tę ofiarę jeszcze dla swojego kochanego doktora, przygotowała mu bowiem do herbaty świeże bułeczki i ciastka rozmaitego gatunku. Wielu z przytomnych ceremonji ślubu już się rozchodziło do swoich mieszkań, inni zaproszeni przez rodziców panny młodej mieli towarzyszyć nowożeńcom. Koczyk pana młodego stał przed furtą kościoła — on blady ze wzruszenia, ale promieniejący młodością i szczęściem, podawał rękę żonie. Wszystkich oczy były na nią zwrócone — ś l i c z n a! przebiegło z ust do ust. Gdy usiadła i p. Adam już postawił nogę na stopniu powozu, by zająć miejsce obok niej, uczuł nagle silne i gwałtowne szarpnięcie za ramię. — Odwrócił się zdziwiony — przed nim stał młody człowiek z odkrytą głową, w wieśniaczym ubiorze:

— Wielmożny panie doktorze — zawołał — proszę zaraz do mojej żonki, umrze! jak Boga kocham umrze! Oj! dolaż moja nieszczęśliwa! — załamał ręce z rozpaczą.

— Mój kochany! widzisz, że nie mam czasu — odpowiedział prędko doktor — zawołaj felczera.

— Felczer mówi, że bez pana doktora nic nie zrobi, bo pójdzie pod sąd, a tam baby ciągają i trzęsą tę niebogę, dalibóg duszę z niej wytrzęsą! Wielmożny panie doktorze, ot moje koniki... Jonek zajeżdżaj! pan doktor pojedzie! tam zaraz za mostami, pierwsza chata! pan doktor zna...

(C. d. n.)

rym przytacza daty zebrane dotychczas co do pobytu pustynnika w Europie. Zbadaniem całej kwestji a szczególniej wyśledzeniem czasu i kierunku tegorocznego ciągu nowego przybysza zajmuje się szczegółowo komitet dla ornitologicznych stacji obserwacyjnych w Austro-Węgrzech, pozostający pod protektoratem J. C. W. Następcy Tronu Arcyks. Rudolfa. Komitet ten wezwał swych delegatów do zbierania dokładnych dat o pustynniku. To też prof. Dr. Maks. Nowicki w Krakowie, jako taki delegat dla Galicji, zwraca się z prośbą do wszystkich tych, którzy w roku bieżącym mieli sposobność obserwować pustynnika, o nadesłanie na jego ręce możliwie szczegółowych dat co do czasu pojawienia się tego ptaka, ilości stadek, jego osiedlenia, pożywienia, gnieżdzenia, lęgu itp. Daty te będą mogły dać dokładny obraz pobytu pustynnika w Galicji i na Bukowinie.

W sprawie psów ogłasza magistrat tutejszy rozporządzenie, według którego na ulicach i placach jawić się mogą tylko psy, prowadzone na linewkach, półtora metra długich lub opatrzone odpowiednim kagańcem, gdyż biegające samopas i bez kagańca, będą łapane przez oprawcę. Zakazane jest również bezwarunkowo wprowadzanie psów do lokalów publicznych. Szczegółowe obwieszczenie w tej sprawie przybite zostało na rogach ulic.

Nowe odkrycie naukowe. W „Institut de Pasteur“ słynny Pasteur zdawał niedawno sprawę z odkrycia nowego środka ochronnego szczepienia, dokonanego przez dr. Roux i Chamberlanda. Mowa tu o szczepieniu celem ochrony przeciw rozkładowi krwi (septicaemia), chorobie zaraźliwej, zdarzającej się u świnek morskich i myszy, a wywoływanej przez mikroorganizmy, zwane *virbio septicus*. Choroba wspomniana jest straszną, zabija bowiem swe ofiary w przeciągu pół dnia. Przyczyną jej, zdaniem Pasteura, są baccile, ginące dopiero w temperaturze ogrzanej na 100°. Otóż Pasteur opowiada, że *virbio septicus*, żyjąc, wytwarza pewne rozpuszczalne substancje chemiczne, posiadące tę dziwną własność, że zwolna działają na baccilusa anteseptycznie, tj. zabijają go. Jeżeli substancje owe w liczbie stosownej dostaną się do ciała świnek morskich, wówczas zwierzątka te nie ulegną septicaemii, znoszą bowiem bezpiecznie wszelkie szczepienie baccilusa tej choroby. Fakt ten — jeżeli i z innej strony będzie należycie powtórzony — miałby ogromne znaczenie: rzuca bowiem nowe światło na stosunek, zachodzący pomiędzy mikroorganizmami a chorobami przez nie wywołanemi i naukę o bakterjach pchnąć może na nowe tory.

Z Żegiestowa nam piszą: Aby uniknąć zgubnej w tym czasie dla zdrowia atmosfery miejskiej opuściłem przed kilku dniami Lwów i udałem się do Żegiestowa uroczej miejscowości, będącej zaciszem takiem, jakiego drugiego nie ma ani nad brzegami Renu, ani w Szwajcarji.

Żegiestów jak wiadomo, leży na granicy Galicji i Węgier, po prawym brzegu Popradu, w pięknej dolinie potoku, Szczawnikiem zwanego, otoczonej górami należącymi do pasma Beskidów. Grzbiety gór otaczające dolinę wysokie na 760 m. nad powierzchnią morza pokryte są wysokopiennym lasem i bujną trawą, która śliczną swą zielonością pieści oko podróżnego. Lasy drzew szpilkowych i liściastych osobliwie buków, grabów i leszczyny, poczynają się od samego dna doliny i pokrywają szereg wzgórz okalających ten mały zakątek karpacki na mil kilka. Owe lasy i góry nadają całej tej okolicy cechę malowniczą. Czerpiąc zaś całą piersią nadzwyczaj świeże i czyste powietrze, napojone balsamiczną wonią drzew i roślin leśnych, i używając kąpieli żegestowskich, a choćby nawet zimnych kąpieli w wartko płynącym Popradzie, można mieć w Żegiestowie przepyszny pobyt letni nawet w takim razie, gdy się nie jest chorym, ale wprost pragnie się odpocząć zdala od zgiełku światowego po trudach i znojach codziennego życia.

Po dwóch latach mojej tu niebytności, znalazłem w zakładzie Żegiestowskim wiele ulepszeń Ze zmianą lekarza zdrojowego, którym obecnie jest Dr. Zgórski, zbudowano nowe łazienki kąpielowe — choć niezupełnie jeszcze w drobniejszych szczegółach nieskończone. Jest dwie restauracji, z których jedna szczególnie odznacza się wyborowemi potrawami i cenami stosunkowo przystępnemi. Wszystkie gościnne domki z numerami mieszkań odświeżone, powiększono zastęp służby, słowem na każdym kroku nowy zarząd zakładu, znamionuje ruch i pokazuje, że dba o wygody swoich gości, a i muzykę ma wcale dobrą.

Bawi tu teraz nie wiele osób — a i tych, które są, nie miałem jeszcze czasu poznać; spodziewać się wszakże należy licznego zjazdu, bo piękna pogoda ku temu sprzyja — i dość już zamówiono mieszkań — a mówiąc nawiasem mieszkania są bardzo tanie.

Pisząc z tej okolicy nie mogę nie wspomnieć o romansowej katastrofie która się odbyła przed kilku dniami w sąsiedniej z Żegiestowem miejscowości Muszynie — będącej ostatnią kolejową stacją przed Krynicą.

Jeden z żandarmów konsystującego posterunku nazwiskiem Splaczek — zapałał gorącą miłością do córki kolejowego sługi, młodej i hożej dziewczyny; ona też nie tylko nie była dla niego obojętną, lecz wywzajemniała się nie kłamanem przywiązaniem. Splaczek żenić się nie mógł a nadto przełożony posterunku — jak mówią, karcił zakochanego za jego zaślepienie w dziewczynie, która pasała krowy swoich rodziców, kochankowie nie znajdując sposobu usunięcia przeszkód stawianych ich ślubowi znikli przed tygodniem jednocześnie z Muszyny, a wczoraj odszukano ich w lesie. Leżeli martwi obok siebie i jak z ran wnosić należy za wspólną zgodą odebrali sobie życie. Zapewne Splaczek odebrał wprzódy jej życie wystrzałem ze służbowego karabinu a później sobie, ciągnąc palcem u nogi za cyngiel. Dziś ma przybyć na miejsce wypadku komisja sądowa.

S. L.

Z Izby sądowej. W Krakowie przed zwykłym trybunałem, któremu przewodniczył radzca sądu wyższego p. Brason, odbyła się dniu 26 b. m. rozprawa prasowa, tak zwana „przedmiotowa“ (objektywna,) przeciw dr. Włodzimierzowi Kozłowskiemu, jako autorowi drukowanego w Krakowie „Listu otwartego do swoich wyborców.“ Autor w liście tym do wyborców z większych posiadłości okręgu Jaworów, Mościska, Cieszanów, zamierzał przedstawić powody, które go skłoniły swego czasu do złożenia mandatu poselskiego do Rady państwa. Krakowska Prokuratorja państwa skonfiskowała ten list, a sąd zatwierdził tę konfiskatę, podając w motywach wyroku, że autor tego pisma częścią przez przytoczenie nieprawdziwych okoliczności, częścią przez przekręcenie faktów, przedstawia działalność władz rządowych rozmyślnie w takiem świetle, iż to przedstawienie zdolne jest w oczach czytelników poniżyć władze rządowe i obudzić ku nim pogardę lub nienawiść, uzasadnia przedmiotowo istotę występku z §. 300 u. k.

Autor listu wniósł przeciw temu orzeczeniu sądu tak zwany „sprzeciw,“ w skutek którego właśnie odbyła się rozprawa prasowa. Dr. Włodzimierz Kozłowski nie stanął do tej rozprawy. Zastępca jego, dr. Adam Bogusz wykazywał że treść listu nie mieści w sobie nic nieprawdziwego, ani przekręconego, ale jest streszczeniem tego, co się działo w Izbie i w komisji legitymacyjnej, a według art. 13 ust. zasadniczej i §. 28 ust. prasowej nie można z tego powodu pociągać kogoś do odpowiedzialności. Jeżeli na wstępie autor żali się na agitację wyborczą niepowołanych organów, to na dowód obrońca powołuje świadków, jak np. p. Zygmunta Kozłowskiego i księcia Adama Lubomirskiego.

W dalszych ustępach tego listu autor żali się na pośpiech, z jakim jego wybór w komisji i Izbie traktowano, tak, że zaledwie akta wyborcze weszły do Izby na 233 posiedzeniu 15 maja 1888 r., a już w kilka godzin potem prezes odczytał pismo prezesa komisji legitymacyjnej, iż rząd wymaga naglącego traktowania tego wyboru, podczas kiedy dotąd 12 aktów wyborczych z roku 1885 leży niesprawdzonych. Obrońca dowodził, że autor nigdzie nie czyni od siebie jakichkolwiek zarzutów rządowi, ale żali się na osoby stojące poza kołem i komisją legitymacyjną, który wpływały na nieuważnie nie jego wyboru, a zresztą powołuje się na same fakta i akta Izby poselskiej oraz na przemówienia posła Starzyńskiego i Tomaszczuka w komisji legitymacyjnej. Na dowód, że praktyka Izby, która przy wyborach w myśl §. 58 ord. wyb. jedynie jest władzą decydującą co do wymaganych lat 30 wieku, była odmienną w innych wypadkach, obrońca cytował wybory innych posłów, którzy wszyscy, nie mając skończonych lat 30, zostali wybrani i te wybory były zatwierdzone.

Po przemówieniu prokuratora i replice obrońcy sąd odrzucił protest dr. Kozłowskiego i zatwierdził konfiskatę. Obrońca zgłosił przeciw temu wyrokowi zażalenie, sprawa będzie więc traktowaną jeszcze w trybunale II instancji.

Samobójstwo. O smutnym fakcie samobójstwa hr. Honoraty Tyszkiewiczowej, która przed kilkunastu dniami odebrała sobie życie w hotelu „Ermitaż“ w Charkowie, zadusiwszy się paskiem rzemiennym, dochodzą nas dziś dopiero niektóre bliższe szczegóły, rzucające pewne światło na tę smutną historję. Hrabina Tyszkiewiczowa przybyła dnia 10 b. m. do Charkowa i kazała się obwieść natychmiast po wszystkich główniejszych hotelach miasta, pytając w każdym czy nie mieszka tam pewien „wysoki podtyły mężczyzna“ a z nim „tłusta kobieta, wyglądająca na kucharkę“. Otrzymawszy wszędzie odpowiedź przeczącą, powróciła do swego mieszkania, a wypiwszy herbatę odprawiła służbę. Nazajutrz z rana pokojówka hotelowa nie widząc hrabiny do godz. 10 z rana, zajrzała do jej pokoju przez okno od galerji i zobaczyła ją siną leżącą bez ruchu na łóżku. Zawezwana policja wyłamała drzwi i skonstatowała, że hr. Tyszkiewiczowa zadusiła się z rozmysłu okręciwszy sobie o szyję pasek rzemienny. Oprócz zarzutki i sukien w których przyjechała nie miała przy sobie żadnej garderoby; w torbie jej podróżnej znaleziono monety i papiery wartości 160.000 rubli, a to 4000 franków, 850 lir włoskich, 10 guldenów, pokwitowanie podpisane przez pewnego polskiego hrabiego za otrzymanych 110.000 rubli, weksel na 10.000 rubli, wreszcie 153 rubli gotówką, kwity za dary złożone niektórym klasztorom, wreszcie, co jest bardzo charakterystyczne, recepty od słynnego psychiatry paryskiego dra Charcota tudzież od profesora Nothnagla. Oprócz tych pieniędzy i recept znaleziono kartki z rozmaitymi notatkami i kilka adresów charkowskich mieszkańców. Znaleziony paszport wykazuje, że hrabina Tyszkiewiczowa na krótko przed samobójstwem była w Paryżu, w Pizie, w Badenie, w Wiedniu i w San-Remo. Z recept prof. Charcot'a widać, że nieszczęśliwa cierpiała na silne rozdrażnienie nerwów. Sposób, w jaki nieszczęśliwa popełniła samobójstwo, będący męczącym i długim procesem, zasługuje na uwagę tem bardziej, że przy zmarłej znaleziono rozmaite środki zabójcze jako to: morfinę, atropinę i kwas pruski.

Ciało zmarłej zabalsamowano natychmiast i pozostawiono w hotelu aż do przybycia krewnych, których o smutnym wypadku telegraficznie zawiadomiono.

Napad. Wracających przedwczoraj wieczorem, po wyścigach, przez pole Janowskie, kilku uczni gimnazjalnych, zatrzymało się w kamieniołomie tamtejszym dla zbierania minerałów. Nagle, wyskoczyło z podziemia czterech włóczęgów, którzy rzucili się na jednego z nich p. Jana W. zdarli mu buty i kapelusz i pobili silnie w głowę. Zawiadomiona policja, wysłała rewizora Kreta w asystencji kilku policjantów, na wskazane miejsce, gdzie w podziemnym schronisku, znaleziono czterech włóczęgów z Janowskiego, Jana Dziumę, Juljusza Przechaskę, Karola Wöslera i Juljana Barańskiego. Znaleziono tam zrabowane buciki, kapelusz, także szklanny dzbanek, solniczkę i pieprzniczkę z mosiężnym postumencikiem. Włóczęgów oddano do sądu.

Krwawa scena odbyła się przed paru dniami w sali rozpraw karnych w Wiedniu. Niejaki Skokan skazany po przeprowadzonej rozprawie za ciężkie uszkodzenie cielesne swej siostry na 6 miesięcy ciężkiego więzienia, w chwili gdy mu wyrok czytano, wsunął szybko rękę do bocznej kieszeni surduta, wyjął z niej rewolwer i zmierzył pozornie ku sobie, ale tak chwiejnie, że kula przeleciała tuż obok zastępcy prokuratora Schörghubera i zraniła lekko jedną osobę z audytorjum. Bezpośrednio potem strzelił Skokan po raz wtóry, zwróciwszy rewolwer ku prawej swej skroni, z której krew obficie popłynęła. Chwiejąc się. podniósł rewolwer po raz trzeci, lecz teraz służba sądowa pochwyciła go i wyprowadziła ze sali. Lekarz sądowy powstrzymał kompresami znaczny upływ krwi, a po zbadaniu Skokana okazało się, iż rana jego nie jest śmiertelną.

Prokuratorja utrzymuje, iż Skokan pierwszy strzał wymierzył ku swej siostrze i dlatego wniosła przeciw Skokanowi nowe oskarżenie o zamierzone morderstwo.

Sensacyjny ten wypadek skłonił prokuratora, hr. Lamezana do zarządzenia, ażeby odtąd także oskarżeni pozostający na wolnej stopie, zanim staną w sali rozpraw, poddali się ścisłej rewizji w tym kierunku, czy nie mają przy sobie jakiejkolwiek broni.

Pożar. Miasteczko Zawałów, o milę od Podhajec położone, zgorzało przed paru dniami. Ogień wybuchł w południe i zniszczył 15 gospodarstw, cerkiew, szkołę i zabudowania gospodarcze proboszcza gr. kat. księdza Huzara z dobytkiem i przeszłoroczna krescencja zarazem.

Pożar powstał z niewiadomej dotąd przyczyny i szerzył się gwałtownie przy braku wszelkich przyrządów ratunkowych w miejscu, a z pobliskich Podhajec, nie pośpieszono z niemi na czas, gdyż gmina nie dała znać o wybuchu pożaru tamże. Wysokość szkody jeszcze nie obliczeno.

O wypadku uderzenia piorunu w kościół w Brzeziu, otrzymał *Czas* bliższe szczegóły od naocznego świadka, bo od właścicielki tej wsi pani Żeleńskiej. We wtorek dnia 19 b. m. przybył X. Biskup krakowski do Brzezia na wizytację kościoła i jak zwykle odprawił nieszpory. Kościół w Brzeziu jest drewniany, a stojąca z frontu dzwonnica stanowi jedną całość. Na drugi dzień rano rozpoczął X. Biskup o godz. 8 Mszę świętą. Mimo ulewy kościół przepełniony był ludem. Ulewa ta zaczęła się przy słabych grzmiotach, wkrótce wszakże grzmoty ustały i tylko deszcz lał jak z cebra. W czasie Mszy św. nie odezwał się też ani jeden grzmot. Nagle przed Offertorjum usłyszano w kościele huk. Nikt nie przypuszczał, żeby to piorun wpadł do kościoła. X. Biskup tylko i parę osób widziało blask. Piorun wpadł przez dzwonnicę na chór i tu zabił 2 osoby, na dole zaś pod chórem 1 osobę, a kontuzjonował lekko tak na chórze jak pod chórem przynajmniej 150 osób. Wszczął się krzyk w kościele, ludzie tłoczyć się poczęli ku drzwiom. X. Biskup wszakże uspokoił zebranych i zaintonował: „Święty Boże.“ Lud padł na kolana i uspokoił się. P. Żeleński posłał po lekarzy, a X. Rychlak, sekreterz X. Biskupa, wpływał na lud uspakajająco i zajął się kontuzjonowanymi. X. Biskup dokończył Mszy św., poczem w wzniosłych słowach przemówił do ludu od ołtarza. Wszyscy kontuzjonowani przyszli do siebie, z trzech zaś osób, rażonych piorunem, nie uratowano żadnej, mimo energicznego ratunku. Na szczęście piorun nie zapalił kościoła.

Korespondencja od Administracji. *WP. J. M. w B. poczta Baligrad.* Proszę donieść, które numera pragnie WP. nabyć, a jeżeli dotąd są na składzie, to kosztować będą po 4 ct. od numeru.

Część ekonomiczna.

= **Kurs gorzelniczy** w szkole rolniczej w Dublanach będzie — jak donosi kierownik tego kursu profesor R. Wawnikiewicz — otwarty 2 lipca b. r. i trwać będzie tylko przez tydzień. Kurs ten obejmie wykłady o rekonstrukcji gorzelni, o długiej fermentacji, o obmurowaniu kotłów, o niektórych aparatach i o opodatkowaniu.

Liczba biorących udział jest ograniczona na 90 osób, a nauka bezpłatna. Pierwszeństwo mają byli uczniowie kursu i członkowie Towarzystwa gorzelników. Zgłoszenia przyjmuje kierownik kursu dr. Roman Wawnikiewicz w Dublanach.

Wiedeń 23 czerwca.

Czytelnicy *Przeglądu*, których zajmuje rubryka poświęcona sprawom ekonomicznym i czasem czytują biuletyny giełdowe, musieli bez wątpienia dostrzedz, że przedstawiając tok i kierunek transakcji, zwykliśmy szukać przyczyn tego w każdoczesnym położeniu politycznem. Jeżeli bowiem czynności giełdy uważa się — a racjonalnie rzecz biorąc, uważać się musi za wynik z harmonijnego współdziałania rozmaitych czynników ekonomicznych, a owe czynniki co do swojego rozwoju i intenzywności zawisły od równoczesnej sytuacji politycznej: to koniecznem jest szukać kierunku transakcji giełdowych w równoległych wypadkach politycznych i w nich znachodzić powody tego, że barometr giełdy raz idzie w górę, drugi raz opada. Tak pojmowaliśmy zadanie nasze jako sprawozdawcy z pieniężnego targu stolicy i staraliśmy się w biuletynach, które, bez stawiania horoskopów na przyszłość były jeno poglądami na przeszłość, wprowadzać w logiczny związek każdoczesną sytuację polityczną z ruchami giełdy. Z objawów tego ruchu finansowego wyciągaliśmy prócz tego niejednokrotnie wnioski o rozwoju pewnych akcyj politycznych, bo widzieliśmy, że świat finansowy — w górnych swoich regionach — tak rozległe ma stosunki i tak trafnie ocenia każdy wypadek polityczny, iż z zachowania się jego w danej sytuacji śmiało wnioskować można, jak się ona rozwinie i którędy podąży.

Od tygodnia przeszło, t. j. od chwili, kiedy z śmiercią cesarza Fryderyka giełdy weszły w znak haussy i w tym kierunku zrazu nagle i gwałtownie. zaś następnie wolniej i ostrożniej, ale bez cofania się kroczą, biuletyny nasze utraciły właściwe im znamiona. Już bowiem rozpoczęcie tej zwyżkowej akcji, wprost przeciwnej logicznym przewidywaniom, nie dało się motywować stworzoną przez wstąpienie na tron niemiecki cesarza Wilhelma II, nową sytuację polityczną i wnet przekonano się. że ten zwyżkowy ruch na giełdach, sztucznie wytworzony potężnemi politycznemi czynnikami, nie był wcale wynikiem tej sytuacji.

Usiłowano wprawdzie podsuwać tej akcji zwyżkowej przyczyny polityczne. ale ani odezwy młodego monarchy do armji i floty, ani polityczne bezbarwny manifest do ludów, nie mogły służyć za przyzwoity pozór tych radosnych porywów giełdy. Więc wyszukiwano dla ich upozorowania nowinki podejrzanej wartości, ale korzystając z danego i silnie podtrzymywanego impulsu, giełda tutejsza codziennie posuwała się w kierunku zwyżkowym, a choć wątpliwej i nietrwałej wartości są jej nabytki w kursach effektów spekulacyjnych, to stanowczym stąd zyskiem to, że renty nasze, które za granicami monarchji znachodzą najliczniejszych nabywców, poszły tam po cenach znacznie wyższych, że zatem większa ilość gotówki z ich sprzedaży pozostała w monarchji i powiększyła obrotowe jej kapitały.

Porównując ich dzisiejsze kursa z kursami przy końcu zeszłego roku, widocznym jest skok bardzo znaczny, jak świadczy następująca tabelka:

renta papierowa	75 85	—	80.65
„ srebrna	78 75	—	81.55
austr. złota	106 00	—	111.70
„ papierowa	89 65	—	96 15
węg. złota	96 10	—	101.85
„ papierowa	79.70	—	88.35

Z tabelki tej widocznem, że podwyżka kursów oddziałała silniej na renty papierowe, które zyskały 5—8 5%, mniej na metalowe, bo ich awanse wynoszą jeno 3—5% Mimo tej podwyżki, z której przeszło półtora procentu jest zasługą ubiegłego tygodnia, obecny kurs naszych rent stoi jeszcze o dużo niżej pod poziomem najwyższych ich notowań przed dwoma laty. W tym czasie notowano bowiem:

rentę papier.	po	86 65
„ srebr.	„	86 80
austr. złotą	„	121 40
„ pap.	„	102 40
węg. złotą	„	110.—
„ pap.	„	96 —

Między zatem dzisiejszemi kursami a owemi przed dwoma laty jest jeszcze szeroki odstęp, który wymagać będzie przez dłuższy czas stałego kierunku zwyżkowego, aby wypełnić tę lukę.

Zapatrując się z tego stanowiska teraźniejsza haussa, prócz tego, że mogła olśnić i zamącić krytyczny sąd rozważnych spekulantów swoją nagłością i brakiem politycznych motywów, nie mogła zaimponować swojemi rozmiarami. Głównie odbiła się ona na pierwszorzędnym papierze spekulacyjnym tj. na austrjackich kredytach, bo w ciągu sześciu dni podniósł ich kurs o 13 zł. czyli o 8.1% nominalnej ich wartości. I tu wszelako kurs ten pozostał daleko jeszcze za najwyższym ich kursem przed dwoma laty, który przewyższał podwójną ich wartość nominalną, bo dochodził do 322.00 zł. Dziś kredyty znów stoją na czelnem miejscu giełdy wiedeńskiej i berlińskiej, i służą znów jak przed laty za wyborny barometr politycznej pogody. Stanowisko to zaszczytne zawdzięczają one nietylko zewnętrznym stosunkom politycznym, ale ich wysokie kursa warunkują inne ważniejsze powody, które dosadny swój wyraz znachodzą w bilansach. Są niemi owe olbrzymie emisje rent, z których poważne zyski wpłynęły do kas Zakładu, i inne szczęśliwe operacje, ujawniające się w bilansach grubemi dywidendami.

Tuż obok austrjackich kredytów szły węgierskie. I one w ciągu tygodnia wzniosły się z 284 na 294.25, zatem o 5% z ich nominalnej wartości 200 zł.; za niemi podążała renta akcyj bankowych z dużo niższemi awansami. — Wynosiły one, wedle kursów z początku i końca tygodnia, u:

anglobanków	108 75—111 50	o	2 75
unionów	201.00—205.75	„	4.75
bankvereinów	90.25— 92 80	„	2.55
länderbanków	215.60—217 50	„	1.90

Podwyżki te szły jednak zwolna i oporem, pod naciskiem ogólnej haussy, która równie nieznacznie oddziałała na targ papierów transportowych. Tu najsilniej podskoczyły kursa Staatsbahnów, lecz one przez cały poprzedni miesiąc stale obniżane, dziś doczekały się zaledwie kursu, jakim się cieszyły przed dwoma miesiącami. Tuż przy nich kroczyły lombardy, zyskawszy 5 zł., zaś nasze galicyjskie koleje posunęły się:

Karola Ludwika z 202 30 na 203 50,
Czerniowieckie z 214 25 na 215.00,

zatem bardzo niestosunkowo do awansów innego materjału i nieznacznie do dawniejszych ich kursów.

Zato uderzającym był podskok w kursie rubli. Notowane niedawno, bo przed czteroma miesiącami po 1 00, zwolna potrzebowały pół czwarta miesiąca, aby podnieść się na 1 01; ale już w przedostatnim tygodniu posunęły się o 4 ct. a w ubiegłym o 4½ i stanęły dziś na kursie 1 15½, t. j. na kursie, jaki miały przez długi czas podczas ostatniej wojny wschodniej i z którego podnosiły się chwilowo na 1·26 lub opadały na 1·11. Dziś łaskawie traktowane razem z wszystkiemi rosyjskiemi walorami przez berlińską giełdę, cieszą się nadzieją, że niebawem wraz z umocnieniem przyjaźnych stosunków między Rosją a Niemcami znów staną u zenitu swojego kursu i będą Benjaminkiem nadsprejskiej giełdy.

Światło tej berlińskiej haussy dziwnie blado odbiło się na kursach naszych papierów krajowych. Nie ruszyło wcale z miejsca akcji naszych bankowych, a awanse naszych papierów hipotecznych nie wynoszą nawet tyle centów, ile guldenów zyskały w tym czasie kredyty. Znak to, że one przeszedłszy w stałe ręce nie podlegają wpływom spekulacji giełdowej i nie idą za jej naciskiem, czy to w kierunku zwyżkowym, czy zniżkowym. Dając przeto swoim właścicielom przyzwoite oprocentowanie, nie narażają ich zarazem na straty w razie konieczności sprzedaży i przez to samo są pewniejszym papierem lokacyjnym, niż międzynarodowe papiery spekulacyjne.

Telegramy „Przeglądu“.

Berlin 25 czerwca. W mowie tronowej wyraża cesarz żal z powodu zgonu ojca i uprasza Boga o siłę w celu wypełnienia wyższych obowiązków. Cesarz ma przed oczyma obraz, który cesarz Wilhelm pozostawił następcom podczas swoich miłujących pokój rządów, a który i cesarz Fryderyk naśladował.

Cesarz jest zdecydowany iść temi samemi drogami, na których dziad jego uzyskał zaufanie sprzymierzeńców, miłość niemieckiego ludu i życzliwe uznanie zagranicy. Do tego celu chce i cesarz dążyć w swej poważnej pracy.

Najważniejsze zadania cesarza spoczywają w zakresie wojskowego i politycznego zabezpieczenia państwa na zewnątrz, a wewnątrz do najważniejszych obowiązków cesarza należy strzeżenie i wykonywanie ustaw państwowych, przestrzeganie i ochrona ustawodawstwa państwowego.

Cesarz będzie dalej prowadził dzieło ustawodawstwa państwowego w duchu swego dziada a w szczególności w myśl jego orędzia z dnia 17 listopada 1881 działać będzie w tym kierunku, aby ustawodawstwo państwowe zabezpieczyło nadal ochronę ludności pracującej, którejto ochrony użyczyć ono może, opierając się na zasadach chrześciańskiej moralności, słabym i uciśnionym w walce o byt.

W ten sposób spodziewa się cesarz, iż powiedzie się doprowadzić do skutku wyrównanie niezdrowych społecznych sprzeczności, a natomiast konieczną jest rzeczą wystąpić przeciw wszystkim dążnościom, zmierzającym do podkopania porządku państwowego.

Cesarz jest zdecydowany utrzymać pokój z każdym. Jego miłość do wojska nie powiedzie go nigdy na pokuszenie odjęcia krajowi dobrodziejstw pokoju.

Jeżeli wojna nie stanie się koniecznością, narzuconą przez zaczepkę na państwo lub tegoż sprzymierzonych, dalekim jest cesarz od użycia siły zbrojnej do wojen zaczepnych.

Cesarz z niemiecką wiernością trzyma się przymierza z Austrją, gdyż w tym obronnym sojuszu widzi podstawę europejskiej równowagi, tudzież testament historji, którego treścią przejęty jest cały niemiecki naród i który odpowiada tradycyjnemu prawu narodów i miał niezaprzeczone znaczenie do r. 1866.

Równe historyczne stosunki i równe narodowe potrzeby łączą nas z Włochami. Nasze układy z Austrją i Włochami dozwalają troskliwego pielęgnowania osobistej przyjaźni dla cesarza rosyjskiego i istniejących pokojowych stosunków do państwa rosyjskiego.

Cesarz cieszy się z tradycyjnych stosunków do mocarstw zagranicznych, przez co jego dążenia pokojowe doznają poparcia.

Wiedeń 26 czerwca. Patentem cesarskim z 19 b. m. sejm dolmacki zwołany na 5 lipca b. r.

Wiedeń 26 czerwca. *Wiener Ztg.* ogłasza ustawę o wynagrodzeniu katechetów za udzielane nauki religji w publicznych szkołach ludowych i średnich.

Kotar 26 czerwca. Następca tronu powitany na granicy Dalmacji przez Namiestnika odbył przegląd garnizonów od granicy aż do Kotaru. W Rizano, po entuzjastycznem przyjęciu, wsiedli na okręt Następca tronu wraz z Arcyksięciem Ottonem i wśród strzałów moździerzowych podczas żeglugi kanałem, przypłynęli do Kotaru.

Peszt 26 czerwca. Komisja budżetowa austrjackiej delegacji obradowała nad nadzwyczajnym kredytem 47 miljonów. Po udzieleniu poufnych wyjaśnień przez ministra wojny i komendanta marynarki i po wyczerpującej dyskusji, przeprowadzonej na dwóch posiedzeniach, uchwalono kredyt jednogłośnie.

Berlin 25 czerwca. O godzinie 12-ej udał się cały dwór do zamkowej kaplicy, gdzie odprawiono nabożeństwo. Stamtąd cesarz, który postępował pomiędzy królem saskim a regentem bawarskim, wszedł do białej sali, zapełnionej posłami wszelkich stronnictw.

Ks. Bismark, który stał na czele członków rady związkowej i parlamentu przedstawił się cesarzowi pierwszy, poczem według programu javili się książęta rzeszy. Po za sztandarem państwa postępował Moltke. Cesarzowa pojawiła się w loży, umyślnie urządzonej, mając obok siebie następcę tronu w czarnem ubraniu. Prezydent parlamentu Wedell wzniósł trzykrotny okrzyk na cześć cesarza i jego sojuszników.

Mowę tronową cesarza przerywały po kilkakroć głośne oklaski. Cesarz uścisnął następnie dłoń Bismarka, który ucałował go w rękę, poczem wśród okrzyku wzniesionego przez ministra Lutza, a przez obecnych powtórzonego, opuścił salę.

Chicago 26 czerwca. Zgromadzenie republikańskie wybrało Harrisona jako kandydata do prezydentury w Stanach Zjednoczonych.

Nadesłane.

Kursa giełdowe.

Wiedeń 26 czerwca, godzina 10 minut 40. — Kredyty austr. 302.50 — kredyty węgierskie —.— — renta wspólna pap. —·— złota węgierska 101.70 — länderbanki —.— — anglobanki 109.50 — uniony —.— — Staatsbahny 231.75 — Karola-Ludwika —.— Czerniowieckie —·— — Vereiny —·— — 5% węg. pap. ren. 88 65.

Z zbożowych targów.

26 czerwca	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Czerniowce
Pszenica	6.20—6.85	6.10—6.75	6 15—6.70	6·30—7.—
Żyto	4.25 4.65	4.15—4.55	4.——4.30	4.30—4.80
Jęczmień	4.——5.—	3.90—4.85	3.75—4.70	4.2 —5.30
Owies	4.——4.75	3.[illegible]5—4.45	3.50—4.25	3.30—4.—
Groch	5.— 10.—	5 50 10.—	6.— 9.75	4.40 9.—
Wyka	4.50 5.—	4,30—4.75	4.50—5.—	4.10—4,80
Rzepak	9.75 10.50	9.65 10.40	9.50 10 25	9.40 10.—
Lnianka	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—
Konic. czer.	24.—35·—	17.—36 —	28.—.33—	18.—34.—
Konic. biała	30.—30 —	30 —36.—	30.—36.—	—.——.—
Konic. szwed.	30.—36.—	30.—35.—	28.—35.—	—.——.—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.

Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł. 15—55 nominalnie.

Nowy chmiel od — do — złr. za 56 kilogramów.

Okowita za 10·000 litr. proc. Lwów loco —·— do —.— **Wiedeń** 26 czerwca. Pszenica 7·15 do 7·20 na jesień 7 42 do —·—. Żyto 5 87 do 5.92, na jesień 6·16 do —·— Owies 5 50 do 5·55, na jesień 5·76 do —·—. Okowita 28 37— do 28 62.— **Peszt** 26 czerwca. Pszenica 6 80 do —·—, na jesień 7·18 do —·— Żyto 5·40 do 5 50, na jesien —.— do —·—. Owies ·— do —·—, na jesień 5·42 do —·—. Okowita 25 50 do 26·—. **Berlin** 26 czerwca. Pszenica 165·— do —·—, na jesień 166·—, Żyto 126·— do —·— na jesien 131·25. Owies 115·—, do —·— na jesień 115·75. Okowita 32 50. do —.—, na jesień 33 10.

Lwów. Z Izby handlowej 26 czerwca 1888.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	203 —	206 50
„ lwow.-czer-jass. 200 zł. w. a.	213 50	217 —
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	283 —	287 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	216 —
2. Listy zastawne za 100 złr.		
Banku hyp. galic. 5 prc. w. a.	98 30	99 40
„ „ „ 5 „ 10% pr.	100 50	101 80
Banku krajowego 4½% w. a.	92 25	93 25
Tow. kred. galic. 5 „ „ „	100 60	101 60
„ „ „ 4 „ „ „	93 25	94 50
„ „ „ 5 „ „ „	100 60	101 60
„ „ „ 4 „ „ „	— —	92 —
„ „ „ 4½% „	94 —	95 —
„ „ „ 4% „ „	— —	91 —
3. Listy dłużne za 100 złr.		
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	— —	54 —
„ „ „ „ (d. 5%) 2½% „	— —	43 —
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	103 —	104 —
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I. em.	99 50	101 —
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	— —	105 —
„ „ „ 1883 4½% „	89 80	91 —
5. Losy.		
Losy miasta Krakowa	19 50	21 50
„ „ Stanisławowa	— —	35 60
6. Monety.		
Dukat holenderski	5.84	5.94
Dukat cesarski	5.87	5.97
Napoleondor	9.99	10.—
Półimperjał rosyjski	10.31	10.41
Rubel rosyjski srebrny	1·40	1·50
„ „ papierowy	1·15½	1·18—
100 marek niemieckich	61,40	62.—

63)

Salon i kulisy.

Z angielskiego przetłómaczyła

N. Krzyżanowska.

(Ciąg dalszy).

XXXIII.

Ciszę tę okrutną Stella przerwała pierwsza. Podniosła się, a wsparta jedną ręką o poręcz fotelu, oczy z rozpacznem błaganiem na młodego zwróciła prawnika.

— Skończone? — zapytała, oddychając z trudnością.

— Skończone, — odparł głosem stłumionym, unikając jej wzroku.

— I... i...?

Strasznym był widok niepokoju jej, widok dzikiej, bezmiernej boleści i trwogi, jaka wstrząsała udręczonem tem sercem. Napróżno otwierała usta, napróżno pierś jej opadała i podnosiła się, gwałtownem szarpana wzruszeniem, głos zamarł zupełnie. Na równi z nią blady, młody prawnik ze stłumionym odwrócił się okrzykiem, lord Elsdale zaś głowę w obu ukrył dłoniach.

— Dla czego się pan odwracasz? — podjęła. — Wszak badanie skończone i przysięgli musieli wyrok już wydać?

— Wydali, — ochrypłym wyszeptał głosem.

— Więc mów pan, co orzekli? Czy posądzają kogo?

— Tak.

— Ależ tam nikogo, prócz mnie, nie było? — ciągnęła z trupią na twarzy bladością. — Wszak wiedzą o tem? Wyraźnie, nikogo prócz mnie.. Mogliby więc z równą racją mnie oskarżyć... Ach, — rzuciła się nagle, z dzikiem wejrzeniem, magnetycznie do rysów jego przykutem, — czemu pan tak patrzysz na mnie? Czemu pan...

Słowa zamarły jej na ustach i, z rękoma przyciśniętemi do serca, z wyrazem obłędu w oczach, zachwiała się. Zaczem jednak lord Cheveley zdołał ku niej poskoczyć, stała już wyprostowana, rzucając do koła niespokojne wejrzenie. Widok starej mrs. Fairfax wsuwającej się nieśmiało do pokoju, i cichej rozpaczy z jaką hrabia Elsdale'u oblicze w dłoniach ukrył, przywrócił jej przytomność. Zdawało się, iż stara się potężnym wysiłkiem woli stłumić jakąś obawę, która nagle w umyśle jej powstała, że chodzi jej więcej o stryja, niż o siebie.

— O! błagam, nie ukrywaj pan nic przedemną, — mówiła z mocą. — Wolę wieść najgorszą, nad tę gnębiącą niepewność. Ach, dla czego patrzysz na mnie z takiem politowaniem? Czy boisz się pan zmartwić mię, dotknąć boleśnie? O! wierzaj, iż co-bądź byś mi powiedział, więcej już cierpieć nie zdołam, jak cierpię w tej chwili.

— Nie mogę, nie mogę, — jęknął, oskarżenie bowiem tej pięknej, majestatycznej kobiety, o zbrodnią nikczemną czynem potwornym wydało mu się również. — Mrs. Fairfax, czy ty potrafisz?

— Dobrze, — przyznała sędziwa staruszka i, otoczywszy kibić dziewczęcia tkliwie ramionami, wieść straszną w pełnych uczucia wyszeptała jej słowach.

Ku ogólnemu jednak zdziwieniu, w rysach Stelli wyraz ulgi zabłysnął. Snadź oczekiwała czegoś gorszego jeszcze.

— Oskarżają mnie? — powtórzyła czystym, spokojnym głosem. — Mnie?

Przez chwilę, otoczona ramionami starej ochmistrzyni, stała cicho, jakby skupiona w sobie. Nagle śmiech straszny, obłąkany, śmiech upiora lub szaleńca, rozbrzmiał po wielkiej komnacie.

— Miss Stello, miss Stello! — wołała błagalnie rządczyni.— Litości!... pamiętaj, że stryj twój jest tutaj; miej wzgląd na straszną zgryzotę mylorda, nie zakrwawiaj ciężkiej i tak rany.

Słowa te jakby magiczne zaklęcie uciszyły natychmiast dziki paroksyzm rozpaczy. Błędny płomień zagasł w rozszerzonych źrenicach, śmiech szalony zamarł na ustach Stelli. Blada, chwiejna, wsparła się siłą całą o opiekuńcze ramiona staruszki i lica w dłoniach ukryła.

Przez chwilę panowała głęboka, śmiertelna niemal cisza. Obecni nie śmiejąc jej przerywać, oddech tamowali nieledwie. Wreszcie Stella podniósłszy główkę, oswobodziła się łagodnie z objęcia ochmistrzyni. Była bardzo blada, rysy jej wszakże rozjaśniał wyraz dziwnego spokoju, w oczach niebiański blask świecił. Smutna, ale jakby ukojona, zbliżyła się do starego hrabiego, i osunąwszy się przy nim na kolana, szyję jego z czułością oplotła ramionami.

— Stryju Normanie — wyszeptała słodko — nie martw się... spojrzyj na mnie, przemów choć słowo... Najdroższy, czy ty mi przebaczysz kiedykolwiek ten wstyd i zgryzotę?... A jednak, Bóg świadkiem, jam niewinna, stryju!

— Stello, czyż potrzebujesz mi to mówić? — jęknął boleśnie. — Tkwi w tem jakaś straszna, niewytłumaczona tajemnica, jakaś zagadka piekielna. O, dziecię, biedne moje dziecię, jak ty to znieść potrafisz?

— Jestem silna i zrezygnowana; nie lękaj się o mnie, stryju Normanie; powiedz tylko, że mi przebaczasz hańbę jaką wam przynoszę. Ach czemuż nie byłam szczerą względem ciebie, czemu prawdą i ufnością nie odwróciłam dzisiejszego nieszczęścia!

— Uspokój się, dziecię — prosił lord Cheveley, opierając rękę na pochylonej jej główce. — Uspokój się, wszystko dobrze skończy się jeszcze.

Podniosła ku niemu źrenice, którym ból nie pozwalał nic widzieć dokoła.

— Wszystko skończy się dobrze — powtórzyła bezwiednie. — O, stryju Normanie, niedawno tak szczęśliwi byliśmy!

— Cicho, dziecię, cicho! — wyszeptał starzec drżącemi usty.

Zamilkli. Wtem szmer u drzwi oznajmił przybycie osób obcych.

Stella poduiosła głowę, a ujrzawszy milczące u progu postacie, domyśliła się jak straszne przywiodło je tu zadanie i drgnęła rozpacznie.

Oczy jej błędnie pobiegły dokoła, poczem blada jak całun śmiertelny i drżąca powstała zwolna.

Na usta starca jęk głuchy się wyrwał, a głowa jego bezwładnie, z zamkniętemi oczyma na poręcz fotelu opadła.

Podczas gdy lord Cheveley pospieszył mu na pomoc, mała drżąca ręka uchwyciła błagalnie ramię prawnika, mgłą zaś bólu przyćmione źrenice Stelli spojrzały prosto w oczy Jakóbowi Francis.

— Wszak oni po mnie przyszli? — zapytała ledwie dosłyszanym głosem.

Milczenie jedyną było odpowiedzią.

— Czy ja muszę, muszę iść z nimi? — szeptała głosem ochrypłym, zamierającym, a szklane oczy jej taką przepaść bólu odbiły, że młody człowiek nie miał dość siły, by jej rzucić słowo twierdzące. Skłonienie głowy tylko było tu wymownym wyrokiem.

Stłumiony, dziki okrzyk rozpaczy zabrzmiał po sali i cisza śmiertelna zaległa znowu przestworze.

. . . .

Szary posępny ranek nie zdołał jeszcze rozproszyć zupełnie nocnych ciemności, gdy Jakób Francis stanął na platformie stacji kolejowej w Arlington, oczekując na pociąg mający przywieść z Londynu ociemniałego jego ojca.

Urzędnicy kolejowi, wiedzący że słynny prawnik ma bronić sprawę miss Hatton, przyglądali mu się ciekawie; imię Stelli zaś ze wszystkich stron obijało się o uszy adwokata. Na szczęście wśród szarego chłodnego poranku ukazały się pałające oczy potwora i lokomotywa ze świstem i sykiem wjechała na stację.

— Zaledwie pociąg stanął, drzwiczki jednego z wagonów otworzyły się, na stopniach zaś ukazał się wysmukły młody człowiek, który zeskoczywszy pospieszył dopomódz w wysiadaniu ociemniałemu. Stary mr. Francis, wdzięczny widocznie za przysługę, podziękował uprzejmie, i wytworny, wyświeżony jak gdyby nocy nie spędził w wagonie i ciężkiem nie był dotknięty kalectwem stanął czekając widocznie na syna.

— Kogożto ojciec wiezie z sobą? — mruknął Jakób Francis, postępując na ich spotkanie. — Ja tego człowieka znam... ja go gdzieś widzieć musiałem... Ach, prawda, to aktor Robson! Biedny człowiek, nie wie nawet jaki go cios tutaj spotka!

— Wszak pamiętasz, Jakóbie, pana Robsona? — zapytał stary prawnik, przywitawszy się z synem. — Raczył on towarzyszyć mi z Londynu, zastępując przysłanego przez lorda Elsdale sekretarza, który pozostał w Stourton.

— Przypominam sobie doskonale pana Robsona — zapewnił młody człowiek, podając rękę aktorowi, który mu się wydawał dziwnie bladym i zmienionym. — Proszę cię, ojcze, tędy. Czeka na nas powóz, lord Elsdale bowiem znajduje się tutaj w hotelu.

— W hotelu? — podjął mr. Francis zdumiony.

— Tak. Czeka cię tu ojcze, straszna i bolesna nowina. Nie chciałem telegrafować, by złych wieści za prędko po świecie nie roznosić.

I ująwszy pod ramię ociemniałego, prowadził go ku pojazdowi, nie widząc przerażenia, z jakiem naczelnik stacji wiódł oczyma za arystokratyczną postacią Marka Robsona.

— Szaleństwo! — zawyrokował wreszcie. — Hallucynacja. Wszak sam widziałem, jak go do trumny kładli.

Jakób Francis milczał tymczasem, nie chcąc w ciągu kilkominutowej jazdy wtajemniczać ojca w dzieje dni ostatnich. Dopiero gdy stanęli w hotelu, starzec usiadłszy przed ożywczym ogniem kominkowym, zagadnął:

— Mówiłeś mi, iż lord Elsdale jest tutaj?

— Tak. Spotkał go wczoraj cios straszny.

— A cóż się stało? Chybaż nie idzie o tajemnicę, związaną z pochodzeniem miss Hatton, bo o tej pisał do mnie ze spokojem i rezygnacją. Nie sądzę też, aby go ona zbytnio dotknęła; zresztą, na wszystkie nowe smutki przywożę mu balsam cudowny: wieść, w obec której pierzchną wszelkie zgryzoty.

— Bardzo wątpię, — przerwał młody prawnik ponuro. Rozpromieniony starzec nie zważał jednak na to.

— Wszak przypominasz sobie tego pana, Jakóbie? — powtórzył, wskazując na Marka Robsona.

(C d. n.)

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak.